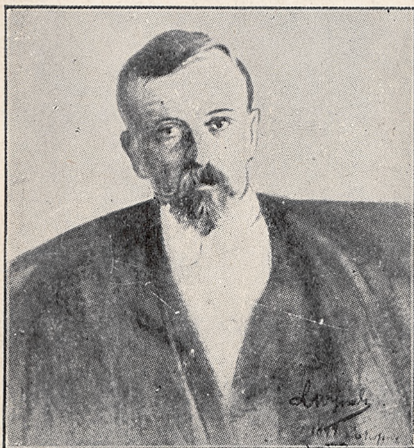
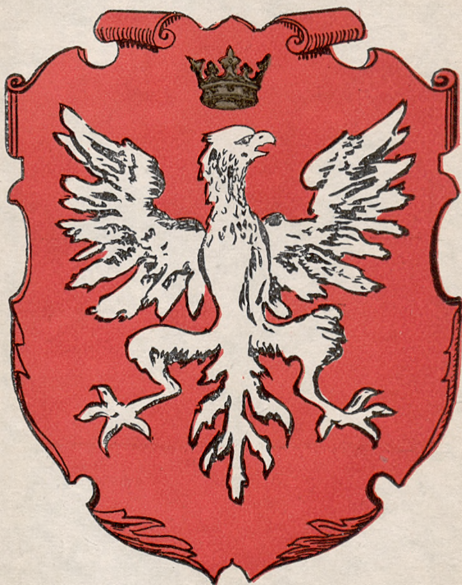
Henryk Sienkiewicz



POTOP

XII



Szymon St. Deptuła

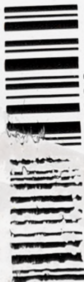
HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

WYDANIE Z OBJAŚNIENIAMI I MAPAMI

TOM XII





LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1936

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WE LWOWIE



15/1936 i
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

ROZDZIAŁ I.

Jakkolwiek Ketling bliskim był osoby księcia Bogusława, jednakże nie wszystko wiedział i nie wszystko umiał opowiedzieć Kmicicowi, co się działo w Taurogach, albowiem zaślepiało go to, że sam się w Billewiczównie kochał.

Bogusław innego także miał powiernika, a mianowicie pana Sakowicza, starostę oszmiańskiego, i ten jeden tylko wiedział, jak głęboko zabrnął książę w afekt dla swojej wdzięcznej branki, oraz jakich sposobów używał, aby jej serce i osobę posiąść.

Miłość ta była poprostu żądzą piekącą, bo do innych uczuć serce Bogusławowe nie było zdolne, ale tak gwałtowną, iż ów doświadczony w amorach kawaler głowę tracił. I nieraz wieczorami, gdy zostali ze starostą oszmiańskim sam na sam, chwytał się Bogusław za włosy, wołając:

— Gorzeję, Sakowicz, gorzeję!

Sakowicz wnet sposób znajdował:

— Kto chce miód wybrać, — mówił, — musi pszczoły odurzyć, a małoż to durzących driakwij ma medyk waszej książęcej mości? Dziś mu słowo rzec, jutro będzie po harapie.

Lecz książę nie chciał chwytać się tego sposobu, a to z rozmaitych przyczyn. Naprzód, któregoś dnia, pojawił mu się we śnie stary pułkownik Billewicz, dziadek Oleńki, i stanąwszy wedle wezgłowia, wpatrywał się w niego, aż do pierwszego piania kogutów, groźnemi oczyma. Bogusław ten sen zapamiętał, tak zaś był ów rycerz bez trwogi przesądny, tak się bał czarów, sennych ostrzeżeń i nadprzyrodzonych zjawisk, iż dreszcz go przejmował na myśl, w jakiej grozie i w jakiej postawie pojawiłoby się po raz wtóry owo widziadło, gdyby za radą Sakowicza poszedł. Sam starosta oszmiański, który w Boga niebardzo wierzył, ale snów i czarów bał się także, zachwiał się nieco w radach.

Drugą przyczyną, powściągliwości Bogusławowej było to, że „Wołoszka“ bawiła z pasierbicą w Taurogach. Nazywano „Wołoszką“ księżnę Januszową Radziwiłłową. Pani ta, pochodząc z kraju, w którym niewiasty dość wolne miewają obyczaje, nie była wprawdzie zbyt surową, owszem, może aż nadto na uciechy dworzan i fraucymeru wyrozumiałą, jednakże nie mogłaby ścierpieć, aby pod jej bokiem człowiek, mający być mężem jej pasierbicy, spełnił występek wołający o pomstę do nieba.

Lecz i później, gdy wskutek namów Sakowicza i z wolą księcia wojewody wileńskiego

„Wołoszka“ wyjechała z księżniczką Januszówną do Kurlandji, Bogusław nie ośmielił się. na występek. Bał się straszliwego krzyku, któryby na Litwie całej powstać rnusiał. Billewiczowie, ludzie możni, nie omieszkaliby go gnębić procesem, prawo zaś karało podobne uczynki utratą mienia, czci i gardła.

Radziwiłłowie byli wprawdzie dość potężni i mogli deptać po prawie, lecz gdyby zwycięstwo przechyliło się w wojnie na stronę Jana Kazimierza, wówczas i tak mógł młody książę popaść w srogie terminy, w których zbrakłoby mu potęgi, przyjaciół i popleczników. A właśnie trudno już było przewidzieć, jak się wojna skończy, gdy Kazimierzowi codzień sił przybywało, Karolowa zaś potęga malała konieczną ludzi utratą i wyczerpywaniem się pieniędzy.

Książę Bogusław, człowiek popędliwy, ale i polityk, liczył się z położeniem. Żądze trawiły go ogniem, rozum doradzał powściągliwość, strach zabobonny kiełznał porywy krwi, jednocześnie przyszły nań choroby, jednocześnie zwaliły się sprawy wielkie a pilne, od których częstokroć los całej wojny zależał, i te wszystkie przyczyny targały duszę książęcą, aż ją znużyły śmiertelnie.

Wszelako niewiadomo, jakby się skończyła walka, gdyby i nie miłość własna Bogusławo wa. Był to pan niezmiernego o sobie rozumienia. Poczytywał się za niezrównanego sta-

tystę, wielkiego wodza, wielkiego rycerza i niezwyciężonego zdobywcę serc niewieścich. Miałżeby uciekać się do siły lub odurzających napojów, on, który skrzynię kowaną listów miłosnych od różnych znamienitych zagranicznych dam ze sobą woził? Miałyżby jego dostatki, jego tytuły, jego potęga, królewskiej niemal równa, jego wielkie imię, uroda i dworność nie wystarczyć do pokonania jednej trusi szlacheckiej?

A przytem, o ileż triumf większy, o ileż więcej rożkoszy, gdy opór dziewczyny sfolżeje i gdy sama dobrowolnie, z bijącem jak u schwytanego ptaka sercem, z palącą twarzą i oczyma zaszłemi mgłą, obsunie się w te ramiona, które się ku niej wyciągają.

Bogusława przechodził dreszcz na myśl o tej chwili i pragnął jej tak prawie mocno, jak samej Oleńki. Spodziewał się ciągle, że taka chwila nastąpi, zżymał się, niecierpliwił, łudził samego siebie, czasem zdawało mu się, że jest od niej bliżej, czasem, że dalej i wówczas wołał, że gorzeje, lecz pracować nie przestawał.

Otoczył naprzód dziewczynę drobiazgową troskliwością, tak, aby musiała mu być wdzięczną i myśleć, że jest dobry, — rozumiał bowiem, że uczucie wdzięczności i przyjaźni jest to łagodny i ciepły płomyk, który później należy tylko rozdmuchać, a wraz w wielki żar się zamieni. Częste przestawanie ich ze sobą

miało służyć do tego, aby to przyszło tern pewniej, dlatego też nie okazywał Bogusław żadnej natarczywości, nie chcąc zmrozić zaufania, ani przestraszyć.

Tymczasem każde spojrzenie, każde dotknięcie ręki, każde słowo, nic nie szło nadarmo, jeno musiało być kroplą drążącą kamień. Wszystko, co czynił dla Oleńki, mogło się tłumaczyć gościnnością gospodarza, owym niewinnym pociągiem przyjaznym, jaki jedna istota dla drugiej uczuwa, ale jednak było to czynione tak, jakby czyniła miłość. Granica była umyślnie zatarta i niewyraźna, aby przekroczenie jej stało się zczasem łatwiejszem i aby dziewczyna snadniej zabłądziła w tych manowcach, gdzie każdy kształt mógł coś, ale mógł i nic nie znaczyć. Gra ta nie godziła się wprawdzie z wrodzoną popędliwością Bogusława, wszelako hamował się, bo sądził, że ona jedynie może doprowadzić do celu, a zarazem znajdował w niej upodobanie takie, jakie znajduje pająk napinający sieć, zdradliwy ptasznik, zastawiający sidła, lub strzelec, tropiący cierpliwie a wytrwale zwierza. Bawiła księcia własna przenikliwość, subtelność i bystrość, których nauczył go pobyt na dworze francuskim.

Jednocześnie podejmował pannę Aleksandrę jakby księżnę udzielną, ale tak, że znowu niełatwo było jej' odgadnąć, czyli to dzieje się wyłącznie dla niej, czy też wypływa z jego

przyrodzonej i nabytej dworności dla płci białej wogóle.

Wprawdzie czynił ją główną osobą wszystkich zabaw, igrzysk, kawalkad i wypraw myśliwskich, lecz wypływało to nieco z natury rzeczy; po wyj'eźd'zie księżnej Januszowej do Kurlandji, ona była istotnie najdostojniejszą wśród niewiast, zgromadzonych w Taurogach. Schroniło się wprawdzie do Taurogów, jako do miejsca leżącego tuż przy granicy, mnóstwo szlachcianek z całej Żmudzi, aby się pod opiekę książęcą od Szwedów uchronić, te jednak same Billewiczównie, jako córce najzacniejszego rodu, prym we wszystkiem przyznawały. A tymczasem, gdy cała Rzeczpospolita zalewała się krwią, uroczystościom nie było końca. Rzekłbyś: dwór królewski ze wszystkimi dworzany i pannami zjechał na wieś dla wczasu i zabaw.

Bogusław rządził jak samowładny monarcha w Taurogach i w całych przyległych Prusach elektorskich, w których częstym bywał gościem, więc wszystko było na jego rozkazy. Miasta dostarczały na skrypty pieniędzy, wojsk, szlachta pruska z ochotą zjeżdżała koleśno i konno na uczty, karuzele i łowy. Bogusław wskrzesił nawet na cześć swej damy zaniechane już wówczas gonitwy rycerskie w szrankach 1.

---

[1] miejscu ogrodzone™, przeznaczonem na igrzyska rycerskie.

Pewnego razu sam wziął w nich czynny udział, i przybrany w srebrną zbroję, a przepasany błękitną wstęgą, którą panna Aleksandra musiała go przewiązać, zwalił z konia czterech najprzedniejszych rycerzy pruskich, piątego Ketlinga, a szóstego zkolei Sakowicza, choć ten siłę miał tak olbrzymią, że karety, uchwyciwszy za koło, w biegu zatrzymywał. I co za zapał powstał w tłumie widzów, gdy następnie srebrny rycerz, klęknąwszy przed swą damą, brał z jej rąk wieniec zwycięstwa. Okrzyki brzmiały na podobieństwo grzmotu dział, wiewały chustki, kłaniały chorągwie, on zaś uniósł przyłbicy i patrzył w jej zapłonioną twarz swemi ślicznemi oczyma, przyciskając jednocześnie do ust jej ręce.

Innym razem, gdy wśród parkanów rozwścieczony niedźwiedź zażerał się z> psami i wszystkie zkolei rozciągnął, książę, przybrany tylko w lekką szatę hiszpańską, skoczył do środka z oszczepem i skłuł nietylko srogą bestję, ale i trabanta, który, widząc chwilę niebezpieczeństwa, poskoczył mu na ratunek.

Panna Aleksandra, wnuczka starego żołnierza, wychowana w tradycjach krwi, wojny i czci dla przewag rycerskich, nie mogła się oprzeć na widok tych czynów podziwowi, a nawet uwielbieniu, nauczono ją bowiem z małego uważać męstwo za pierwszy niemal przymiot męża.

Tymczasem książę codzień składał dowody

nadludzkiej prawie odwagi, i codzień na cześć Oleńki. Goście zebrani, w pochwałach i uniesieniach dla księcia tak wielkich, że bóstwo samo poprzestaćby na nich mogło, musieli mimowoli łączyć w rozmowach jej imię z imieniem Bogusława. On milczał, lecz oczyma wypowiadał jej to, czego nie śmiały wypowiedzieć usta... Czar otaczał ją dokoła.

Wszystko układało się w ten sposób, żeby ich zbliżać, łączyć, a zarazem wyłączać z tłumu innych ludzi. Trudno było wspomnieć komuś o nim, by jednocześnie o niej nie wspomniał. Myślom samej Oleńki Bogusław narzucał się z siłą nieprzepartą. Każda chwila dnia była obrachowana na to, by czar potężniał.

Wieczorem, po igrzyskach, pokoje płonęły od lamp różnokolorowych, rzucających blaski tajemnicze a słodkie, jakoby z krainy snów rozkosznych na jawę przeniesione; upajające wschodnie wonie przesycały powietrze, ciche dźwięki niewidzialnych harf, lutni i innych instrumentów pieściły uszy, a wśród tych aromatów, świateł, dźwięków, chodził on, w glorji powszechnych uwielbień, niby zaczarowany królewicz z bajki, młody, piękny, rycerski, świecący jak słońce od klejnotów, a jako pasterz rozkochany...

.1 akaż dziewczyna mogła się oprzeć tym urokom, jakaż cnota mogła nie zemdleć wśród tych czarów?... A unikać młodego księcia nie było możności, żyjąc z nim pod jednym da-

chem i korzystając z jego gościnności, którą aczkolwiek przemocą narzucił, jednakże szczerze i prawdziwie po pańsku wypełniał. Przytem Oleńka udała się bez niechęci do Taurogów, bo je wołała od ohydnych Kiejdan, również jak wołała rycerskiego Bogusława, który udawał przed nią miłość do opuszczonego króla i ojczyzny, od jawnego zdrajcy Janusza. Owszem, w początkach swego pobytu w Taurogach, pełna była przyjaznych uczuć dla młodego księcia, a spostrzegłszy wkrótce, jak dalece i on stara się o jej przyjaźń, używała nieraz swego wpływu, aby ludziom dobrze czynić.

W trzecim miesiącu jej bytności pewien oficer artylerji, przyjaciel Ketlinga, skazany został na rozstrzelanie przez księcia; Billewiczówna, dowiedziawszy się o tern od młodego Szkota, wniosła za nim instancję.

— Bóstwo może rozkazywać, nie prosić — odrzekł jej Bogusław, i przedarłszy wyrok śmierci, rzucił jej do nóg. — Rządź, rozkazuj! Taurogi spalę, jeżeli choć uśmiech za tę cenę zdołam na twej twarzy wywołać. Nie chcę innej nagrody, jeno mi bądź wesołą i zapomnij o tern, coć dawniej bolało!

Ona wesołą nie mogła być, mając w sercu ból, żal i niewypowiedzianą pogardę dla człowieka, którego pierwszą miłością pokochała, a który teraz był w oczach jej większym zbrodniarzem od ojcobójcy. Ów Kmicic, obie-

cujący za czerwone złote wydać króla, jak Judasz Chrystusa, zohydzał się i szpetniał coraz hardziej w jej oczach, aż z biegiem czasu zmienił się w potwór ludzki, w zgryzotę, w wyrzut dla niej samej. Nie mogła sobie darować, iż go kochała, a zarazem nie mogła go zapomnieć, nienawidząc.

Wobec tych uczuć trudno jej było nawet udawać wesołość, ale natomiast musiała być księciu wdzięczną i za to, że do zbrodni Kmicicowej nie chciał przyłożyć ręki, i za wszystko, co dla niej czynił. Dziwno jej to było, że młody książę, taki rycerz i tak pełen szlachetnych uczuć, nie śpieszył na ratunek ojczyźnie, choć się na praktyki Januszów© nie zgadzał, sądziła wszelako, że taki statysta wie, co robi, i że tego wymaga polityka, której ona swym prostym panieńskim rozumem pojąć nie może. Bogusław napomykał jej też, tłumacząc swoje częste do bliskiej pruskiej Tylży wyjazdy, że sił mu już nie staje od zbytniej pracy, że prowadzi układy między Janem Kazimierzem, Karolem Gustawem, elektorem i że spodziewa się ojczyznę z toni wydźwignąć.

— Nie dla nagród, nie dla urzędów to czynię, — mówił do niej, — brata Janusza nawet poświęcam, który był mi ojcem, bo nie wiem, czy życie dla niego u zawziętości królowej Ludwiki wyproszę, ale czynię to, co mi Bóg, sumienie i afekt dla miłej matki ojczyzny nakazuje...

Gdy tak mówił ze smutkiem w delikatnej twarzy i oczyma ku pułapowi zwróconemi, wydawał jej się wzniosłym jako ci bohaterowie starożytni, o których stary pułkownik Billewicz jej opowiadał, co sam w Korneljuszu [1] wyczytał. 1 wzbierało w niej serce podziwem, uwielbieniem. Powoli doszło do lego, że gdy myśli o nienawistnym Andrzeju Kmicicu zbyt ją zmęczyły, myślała o Bogusławie, aby się ukoić i pokrzepić. Tamten uosabiał dla niej straszliwą i ponurą ciemność, ten światło, w którem rada się kąpie każda dusza stroskana. Pan miecznik rosieński i panna Kulwiecówna, którą także sprowadzono z Wodoktów, popychali jeszcze Oleńkę po owej pochyłości, śpiewając od rana do wieczora hymny pochwalne na cześć Bogusława. Ciążyli mu wprawdzie oboje w Taurogach, tak, iż o tern tylko myślał, jakby ich grzecznie precz wyprawić, ale ich sobie zjednał, a zwłaszcza pana miecznika, który z początku niechętny, nawet zagniewali, nie mógł się jednak przyjaźni i faworom Radziwiłła oprzeć.

Gdyby Bogusław był tylko znamienitego rodu szlachcicem, nie zaś Radziwiłłem, nie księciem, nie magnatem w monarchiczny niemal majestat przyodzianym, byłaby może Billewiczówna zakochała się w nim na śmierć i życie, wbrew testamentowi starego pułkownika, który jej wybór tylko między klasztorem

---

[1] rzymskim autorze „Żywotów sławnych mężów“.

a Kmicicem zostawiał. Lecz była to panna surowa dla siebie samej i dusza bardzo prawa, więc nawet nie dopuściła do głowy ani marzenia o niczem innem, jak o wdzięczności i podziwieniu dla księcia.

Ród jej był zbyt mały, by mogła zostać żoną, a zbyt wielki, by mogła zostać kochanicą Radziwiłła, patrzyła więc na niego jakby patrzyła na króla, będąc przy dworze. Próżno sam starał się nasuwać inne myśli; próżno sam, zapamiętawszy się istotnie w miłości, częścią z rachuby, częścią z uniesienia, powtarzał nieraz, co swego czasu mówił pierwszego wieczoru w Kiejdanach, że Radziwiłłowie nieraz się z szlachciankami żenili; owe myśli nie czepiały się jej, jak woda nie czepia się piersi łabędziej, i pozostała jaką była, wdzięczną, przyjazną, wielbiącą, szukającą ulgi w myśli o bohaterze, lecz w sercu spokojną.

On zaś nie umiał się w jej uczuciach połapać i często wydawało mu się, że jest bliskim celu. Lecz sam ze wstydem i złością wewnętrzną spostrzegał, że nie jest tak śmiałym względem niej, jak bywał względem najpierwszych dam w Paryżu, w Brukseli i w Amsterdamie. Może to było dlatego, że się naprawdę zakochał, a może dlatego, że w tej pannie, w jej twarzy, ciemnych brwiach i surowych oczach było coś takiego, co nakazywało szacunek. Jeden jedyny Kmicic nie podlegał swego czasu temu wpływowi i, ani dbając,

śmiało garnął się do całowania tych surowych oczu i dumnych ust, ale Kmicic był jej narzeczonym.

Wszyscy inni kawalerowie, począwszy od pana Wołodyjowskiego, skończywszy na bardzo rubasznej szlachcie pruskiej w Taurogach i samym księciu, mniej byli z nią poufali, niż z innemi pannami takiej samej kondycji. Księcia unosiła wprawdzie popędliwość, ale gdy raz w karecie nacisnął jej nogę, szepcąc jednocześnie: „Nie bój się...“ — a ona odrzekła, iż właśnie boi się, by nie pożałowała położonej w nim ufności, Bogusław zmieszał się i powrócił do dawnej drogi stopniowego podbijania jej serca.

Lecz wyczerpywała się i jego cierpliwość. Powoli ¡zaczął też zapominać o strasznem widziadle, które mu się we śnie pojawiło, coraz częściej rozmyślał nad tern, co Sakowicz radził, i nad tern, że Billewiczowie w wojnie wszyscy wyginą; żądze piekły go coraz potężniej, gdy nagle zaszła okoliczność, która bieg rzeczy w Taurogach zupełnie zmieniła.

Pewnego dnia przyszła wieść jak piorun, że Tykocin przez pana Sapiehę wzięty, a książę hetman wielki stracił życie w zwaliskach zamku.

Zawrzało wszystko w Taurogach, sam Bogusław zerwał się i wyjechał tegoż samego dnia do Królewca, w którym miał widzieć się z ministrami króla szwedzkiego i elektora.

Pobyt jego przedłużał się nad pierwotny zamiar. Tymczasem do Taurogów poczęły ściągać oddziały wojsk pruskich, a nawet i szwedzkich. Poczęto mówić o wyprawie przeciw panu Sapieże. Naga prawda, iż Bogusław był stronnikiem Szwedów, tak jak jego stryj Janusz, wychodził:» nawierzch coraz wyraźniej.

Zdarzyło się, że jednocześnie pan miecznik rosieński odebrał wiadomość o spaleniu rodzinnych Billewicz przez oddziały Loewenhaupta, które, pobiwszy powstańców żmudzkich pod Szawlami, niszczyły ogniem i mieczem cały kraj.

Wówczas szlachcic zerwał się i pojechał, chcąc szkody własnemi oczyma zobaczyć, a książę Bogusław wcale go nie wstrzymywał, — owszem, chętnie wyprawił, rzekłszy tylko na drogę:

— Teraz waszmość rozumiesz, dlaczegom was- do Taurogów sprowadził, bo, poprostu mówiąc, życie mi zawdzięczacie.

Oleńka została sama z panną Kulwiecówną i natychmiast zamknęła się w swych komnatach, nikogo prócz niektórych niewiast nie widując. Te gdy jej przyniosły wieść, iż książę gotuje wyprawę przeciw wojskom polskim, nie chciała im zrazu wierzyć, lecz pragnąc się upewnić, kazała prosić do siebie Ketlinga, wiedziała bowiem, iż młody Szkot niczego przed nią nie utai.

Jakoż stawił się natychmiast, szczęśliwy, że

go przywołano, że przez chwilę będzie mógł rozmawiać z tą, która opanowała mu duszę.

Billewiczówna poczęła go wypytywać:

— Panie kawalerze, — rzekła, — tyle wieści krąży po Taurogach, błądzimy w nich, jako wśród lasu. Jedni mówią, że książę wojewoda swoją śmiercią zmarł; drudzy, że na szablach rozniesion. Jaka jest przyczyna jego śmierci?

Ketling zawahał się przez chwilę; widocznem było, że walczy z wrodzoną nieśmiałością, nakoniec zarumienił się mocno i odrzekł:

— Przyczyną upadku i śmierci księcia wojewody pani jesteś.

— Ja?... — zapytała ze zdumieniem panna Billewiczówna.

— Tak jest, bo książę nasz wołał zostać w Taurogach, niż bratu iść na ratunek. O wszystkiem tu zapomniał... przy tobie, pani.

Teraz ona zkolei zapłonęła jak róża purpurowa.

Nastała chwila milczenia.

Szkot stał z kapeluszem w ręku, ze spuszczonemi oczyma i głową schyloną na piersi, w postawie pełnej czci i uszanowania, nakoniec podniósł głowę, strząsnął jasne pukle włosów i rzekł:

— Pani, jeżeli cię obraziły moje słowa, pozwól mi klęknąć przed sobą i na kolanach prosić cię o przebaczenie.

— Nie czyń tego, panie kawalerze — odrzekła żywo panna, widząc, że młody rycerz

zgina już kolano. — Wiem, iż coś rzeki, toś rzeki w szczerości serca, bom to zdawna spostrzegła, żeś mi życzliwy. Zali nie tak? Zali mi waćpan nie życzysz?...

Oficer podniósł swe anielskie oczy do góry, i położywszy rękę na sercu, głosem tak cichym jak szmer wiatru, a smutnym jak westchnienie, rzeki tylko:

— Ach pani! pani!...

I w tej chwili przestraszył się, że za wiele powiedział, więc znów głowę schylił na piersi i przybrał postawę dworzanina, słuchającego rozkazów królewny.

— Wśród obcych tu jestem i bez opieki, — rzekła Oleńka, — a choć sama potrafię czuwać nad sobą i Bóg mnie od przygody uchroni, przecież i ludzkiej mi pomocy potrzeba. Chcesz-li waćpan być moim bratem? Chcesz mnie ostrzec w potrzebie, abym wiedziała, co czynić, i wszelakich sideł uniknąć mogła?

To rzekłszy, wyciągnęła doń rękę, on zaś teraz przyklęknął, mimo, iż mu broniła, i ucałował końce jej palców,

— Mów waćpan, co tu się dzieje koło mnie?

— Książę kocha panią — odrzekł Ketling. — Czyś pani tego nie spostrzegła?

Ona zaś zakryła twarz rękoma.

— Widziałam i nie widziałam. Czasem wydawało mi się, że on jeno dobry bardzo...

— Dobry!... — powtórzył jak echo oficer.

— Tak jest. A czasem, gdy mi przyszło do

głowy, żem nieszczęsna żądze wzbudzić w nim mogła, tom i tak uspokajała się tern, iż żadna mi od niego nie grozi napastliwość. Byłam mu wdzięczna za to, co dla mnie czynił, choć, Bóg widzi, nie wyglądałam jego nowych łask, bojąc się i tak tych, które już wyświadczył.

Ketding odetchnął.

— Mogęż śmiele mówić? — zapytał po chwili milczenia.

— Mów waćpan.

—• Książę dwóch ma tylko powierników: pana Sakowicza i Patersona, a Paterson mnie wielce życzliwy, bo z jednych krajów pochodzim i na ręku mnie nosił. Więc co wiem, to wiem od niego. Książę kocha panią ¡żądze płoną w nim, jako smoła w pochodni. Wszystko, co tu się dzieje, wszystkie owe uczty, łowy, karuzele i ten turniej, po którym dotąd, dzięki książęcej ręce, krew mi się rzuca ustami, dzieje się dla waćpanny. Książę miłuje cię, pani, bez pamięci, ale nieczystym ogniem, bo cię chce pohańbić, nie zaślubić; bo chociaż nie mógłby znaleźć godniejszej, królem nawet wszystkiego świata, nietylko księciem będąc, przecie myśli o innej... Przeznaczona mu jest księżniczka Anna i jej fortuna. Wiem to od Patersona, i Boga wielkiego, Jego ewangelję biorę na świadka, że szczerą prawdę mówię. Nie wierz pani księciu, nie ufaj jego dobrodziejstwom, nie ubezpieczaj się jego moderacją, czuwaj, strzeż się, bo ci tu zdradę

na każdym kroku gotują. Dech zamiera w piersiach od tego, co mi Paterson mówił. Równego Sakowiczowi zbrodniarza w świecie niema... Nie mogę o tern mówić, poprostu nie mogę mówić! Gdyby nie przysięga, którąm księciu składał, że życia i osoby jego strzec będę, ta ręka, pani, i ta szpada uwolniłyby cię od groźby ustawicznej... Ale pierwszego zabiłbym Sakowicza... Tak jest! jego pierwszego przed wszystkimi ludźmi! przed tymi nawet, którzy w mojej ojczyźnie krew z ojca mego wytoczyli, fortunę zagarnęli i tułacza, jurgieltnika ze mnie uczynili...

Tu Ketling trząść się począł z uniesienia, przez chwilę gniótł tylko ręką gardę szpady, słowa wyrzec nie mogąc, następnie ochłonął i jednym tchem wypowiedział, jakie sposoby podsuwał księciu Sakowicz.

Panna Aleksandra, ku wielkiemu jego zdziwieniu, zachowała się dość spokojnie, ujrzawszy grożącą sobie przepaść, tylko twarz jej pobladła i stała się jeszcze poważniejszą. Nieugięta wola odbiła się w jej surowem spojrzeniu.

— Potrafię się uchronić! — rzekła — tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

— Książę dotychczas nie cliciał iść za radą Sakowicza, — dodał Ketling, — lecz gdy ujrzy, że droga, którą obrał, do niczego nie prowadzi...

I począł opowiadać o przyczynach, które Bogusława zatrzymywały.

Panna słuchała ze zmarszczoną brwią, ale niezbyt uważnie, bo już poczęła myśleć o tern, jakby się wyrwać z pod tej straszliwej opieki. Leciz że w całym kraju nie było miejsca nie oblanego krwią i plany ucieczki nie przedstawiały się jej jasno, zatem wołała o nich nie mówić.

— Panie kawalerze, —- rzekła wreszcie, — odpowiedz mi na jedno jeszcze pytanie. Stoi-li książę Bogusław po stronie króla szwedzkiego, czy polskiego?

— Nikomu z nas nie tajno, — odrzekł młody oficer, — że książę nasz pragnie należeć do rozbioru tej Rzeczypospolitej, ażeby Litwę w udzielne księstwo dla siebie zmienić!

Tu umilkł, i rzekłbyś, że jego myśl pobiegła mimowoli śladami myśli Oleńki, bo po chwili dodał:

— Elektor i Szwedzi na usługi księcia, a że całą zajmują Rzeczpospolitą, więc niema się przed nim gdzie schronić.

Oleńka nie odrzekła nic.

Ketling czekał jeszcze przez chwilę, czy go o co zapytać nie zechce, lecz gdy milczała, ciągle własnemi myślami zajęta, poczuł, że nie należy jej przeszkadzać, więc zgiął się we dwoje w pożegnalnym ukłonie, zamiatając ziemię piórami od kapelusza.

— Dziękuję, panie kawalerze — rzekła, wyciągnąwszy doń rękę.

Oficer, nie odwracając się, zaczął cofać się ku drzwiom.

Nagle na twarzy jej pojawiły się lekkie rumieńce, zawahała się przez chwilę, nareszcie rzekła:

— Słowo jeszcze, panie kawalerze.

— Każde jest dla mnie łaską...

— Waćpan znałeś paiia... Andrzeja Kmicica...

— Tak jest, pani... z Kiejdan. Ostatni raz widziałem go w Pilwiszkach, gdyśmy z Podlasia w te strony ciągnęli.

— Czy prawda?... czy prawdę książę powiedział, iż mu się pan Kmicic ofiarował na osobę króla polskiego targnąć?...

— Nie wiem, pani... Wiadomo mi jeno, iż się w Pilwiszkach ze sobą naradzali, zaczem książę odjechał z nim w lasy i tak długo nie wracał, że Paterson począł się bać i wysłał wojsko na spotkanie. Ja właśnie prowadziłem ten oddział. Spotkaliśmy księcia, gdy już wracał. Uważałem, że był zalterowan bardzo, jakby wielkie wzruszenie duszy przebył. Rozmawiał też sam z sobą, co mu się nigdy nie zdarza. Słyszałem też, jako rzeki: „Djabełby się na to porwał...“. Zresztą nic więcej nie wiem... Jeno później, gdy książę wspominał o tern, z czem mu się pan Kmicic ofiarował, pomyślałem sobie: jeśli to było, to wtedy być musiało.

Billewiczówna zacisnęła wargi.

— Dziękuję — rzekła.

I po chwili została sama.

Myśl ucieczki opanowała ją zupełnie. Za wszelką cenę postanowiła wyrwać się z tych ohydnych miejsc i z pod władzy tego zdradzieckiego księcia. Ale dokąd się udać? Wsie i miasta były w ręku szwedzkich, klasztory poburzone, zamki zrównane z ziemią, kraj cały roił się od żołdaków i od strraszniejszych od nich zbiegów wojskowych, zbójców, wszelkiego rodzaju łotrzyków. Jakiż los mógł czekać dziewczynę, rzuconą na pastwę tej burzy? Kto z nią pójdzie? Ciotka Kulwiecówna, pan miecznik rosieński i kilkunastu jego czeladzi. A czyż siły te ochronią ją?... Poszedłby może i Ketling, możeby nawet znalazł garść wiernych żołnierzy i przyjaciół, którzyby chcieli mu towarzyszyć, lecz Ketling kochał się w niej zbyt widocznie, więc jakże jej było zaciągać u niego dług wdzięczności, któryby zbyt wielką ceną spłacać następnie przyszło?

Wreszcie, jakież miała prawo zamykać los temu młodzieńcowi, ledwie wyrosłemu z pacholęcia, i narażać go na pościg, na zgubę, jeżeli nie mogła nic mu wzamian, prócz przyjaźni ofiarować. Więc pytała sama siebie: co czynić, dokąd uciekać, gdyż tu i tam groziła zguba, tu i tam hańba.

W takiej rozterce dusznej poczęła modlić się gorąco, a szczególnie powtarzała gorliwie jedną modlitwę, do której swego czasu stary pułkownik zawsze się w złych terminach uciekał, zaczynającą się od słów:

Bóg Cię z dzieciątkiem salwował
Od Herodowej złości,
W Egipcie drogi prostował
Dla Twojej przezpieczności...

Tymczasem powstał wicher mocny i drzewa poczęły w sadzie za oknami szumieć okrutnie. Nagle przypomniały się zamodlonej panience puszcze, na których skraju wychowała się od małego, i myśl, że w puszczach znajdzie się jedyne bezpieczne schronisko, przeleciała jej jako błyskawica przez głowę.

Więc odetchnęła głęboko Oleńka, bo znalazła wręszcie, czego szukała. Tak jest! Do Zielonki, do Rogowskiej! Tam nieprzyjaciel nie ¡pójdzie, łotrzyk nie będzie łupu szukał. Tam swój nawet, jeśli się zapamięta, to może zabłądzić i błądzić aż do śmierci, cóż zaś dopiero obcy, dróg nie znający. Tam obronią ją Domaszewicze myśliwi i Stakjanowie Dymni, a jeśli niemasz ich, jeśli ruszyli wszyscy za panem Wołodyjowskim, toż temi lasami można aż hen! do innych województw ciągnąć i w innych puszczach spokoju szukać.

Wspomnienie pana Wołodyjowskiego rozweseliło Oleńkę. Takiegoby jej opiekuna! To prawy żołnierz, to szabla, pod którą i przed Kmicicem i przed Radziwiłłami samymi można się schronić. Tu przypomniało się jej, że on to właśnie radził wówczas, gdy Kmicica w Billewiczach schwytał, ażeby w puszczy Białowieskiej spokoju szukać.

I słusznie mówił! Rogowska i Zielonka za blisko Radziwiłłów, a koło Białowieży stoi właśnie ten Sapieha, który dopiero co starł z oblicza ziemi najstraszniejszego Radziwiłła.

Zatem do Białowieży, do Białowieży, choćby dziś, jutro!... Niech tylko miecznik rosieński przyjedzie, nie będzie zwlekała!

Ochronią ją ciemne głębie Białowieży, a później, gdy burza przejdzie, klasztor. Tam jeno spokój prawdziwy być może i zapomnienie wszystkich ludzi, wszystkiego bólu, żalu, pogardy...

ROZDZIAŁ II.

Pan miecznik rosieński wrócił w kilka dni później. Mimo, iż jechał z glejtem Bogusławowym, dotarł tylko do Rosień; do samych zaś Billewicz nie było poco jeździć, gdyż nie było ich już na świecie. Dwór, zabudowania, wieś, wszystko zostało doc.na spalone w ostatniej bitwie, którą ksiądz Straszewicz, jezuita, stoczył na czele swego oddziału z kapitanem szwedzkim Rossą. Lud był w lasach lub w partjach zbrojnych. Zostały, na miejscu wsi zamożnej, jeno ziemia i woda.

Drogi przytem pełne były „grasantów“, to jest zbiegów z wojsk rozmaitych, którzy, znacznemi kupami chodząc, rozbojem się trudnili, tak że nawet pomniejsze komendy wojsko-

we nie były od nich bezpieczne. Nie zdołał się zatem pan miecznik nawet i o tern przekonać, czy zakopane w sadzie solówki [1] ze srebrem i pieniędzmi ocalały, i powrócił do Taurogów wielce zły, zgryziony, z okrutną przeciw niszczycielom w sercu zawziętością.

Ledwie nogą zstąpił z kałamaszki, wciągnęła go Oleńka do swej komnaty i opowiedziała mu wszystko, co jej Hassling-Ketling powiadał.

Zatrząsł się na to stary szlachcic, który, nie mając własnego potomstwa, dziewczynę jak córkę kochał. Przez jakiś czas łapał się tylko za głownię szabli, powtarzając: „Bij, kto cnotliwy!“ — wreszcie za głowę się porwał i tak mówić począł:

— Mea culpa, mea maxima culpa! [2] bo mi i samemu czasem do łba przychodziło i ten i ów szeptał, że ów piekielnik w amorach dla ciebie utonął, a ja nie mówiłem nic, jeszczein się w boki brał, myśląc: „Nuż się ożeni!“ Gosiewskim krewniśniy, Tyzenhauzom także... Czemu nie mamy być krewni Radziwiłłom? Za pychę to, za pychę Bóg mię karze... Zacne zdrajca pokrewieństwo obmyślił. Takim nam być chciał krewnym — bodaj go zabito! — jako dworski byk wiejskim jałoszkom! Bodaj go zabito! Ale poczekasz! Pierwej ta ręka i ta szabla spróchnieją!...

---

[1] beczki na sól. [2] moja wina, moja bardzo wielka wina!

— Tu o ratunku myśleć trzeba — odrzekła Oleńka.

I nuż przedstawiać swe plany ucieczki.

Pan miecznik, wysapawszy się, słuchał uważnie, nakoniec rzekł:

— Wolej mi poddaństwo zebrać i partję utworzyć! Będę Szwedów podchodził, jako inni podchodlzą, jak niegdyś Kmicic Chowańskiego. Bezpieczniej ci będzie w lesie i w polu, niż na tym dworze zdrajcy i heretyka!

— Dobrze — odpowiedziała panna.

— Nietylko się nie sprzeciwiam, — mówił w zapale miecznik, — ale tak powiadam: że im prędzej, tern lepiej... A toć poddaństwa, ani kos, mi nie brak. Spalili mi rezydencję, mniejsza z tern! to z innych wiosek chłopstwo ściągnę... Wszyscy Billewicze, którzy już są w polu, staină przy nas. Pokażemy ci, panku, pokrewieństwo... pokażemy, co to na honor Billewiczówny naistawać... Tyś Radziwiłł! Nic to! Niemasz hetmanów w billewiczowskim rodzie, ale niemasz i zdrajców!... Obaczym, za kim cała Żmudź pójdzie!...

Tu zwrócił się do ipanny:

— Ciebie osadzim w Białowieży, a sami wrócim! Nie może inaczej być! Musi on za ten afroint odpokutować, bo to całego stanu szlacheckiego krzywda. Infamis, kto się za nami nie opowie! Bóg pomoże, bracia pomogą, obywatele pomogą, a wówczas ogień a miecz! Dotrzymają Billewicze Radziwiłłom!

Infamiis, kto nie z nami! infamia, kto zdrajcy szablą przed oczami nie błyśnie. Król, sejmy, cała Rzeczpospolita z nami!

Tu miecznik, czerwony jak krew i ze zjeżoną czupryną, począł pięścią w stół walić.

— Pilniejsza ta wojna, niż szwedzka, bo w nas jest cały stan rycerski, wszystkie prawa, wszystka Rzeczpospolita pokrzywdzona i w najgłębszych fundamentach zachwiana. Infaimis, kto nie rozumie! Zginie ta ojczyzna, jeżeli pomsty i kary na zdrajcę nie wyrnierzym!

I tak grała stara krew coraz gwałtowniej, że aż Oleńce przyszło miecznika uspokajać. Siedział on dotychczas spokojnie, choć się zdawało, że nietylko ojczyzna, lecz i świat cały ginie, ale dopiero gdy Billewiczów dotknięto, w tern ujrzał najstraszniejszą przepaść dla ojczyzny i jak lew ryczeć począł.

Lecz panna, która miała na niego wpływ wielki, zdołała go wkońcu uspokoić, tłumacząc mu, że dla zbawienia ich i dla tego, iżby się ucieczka udała, potrzeba właśnie najgłębszą tajemnicę zachować i nie pokazać księciu, że się czegokolwiek domyślają.

Przyrzekł święcie, iż wedle jej wskazówek postąpi, poczem już radzili o samej ucieczce. Rzecz nie była zbyt trudna, bo zdawało się, że ich nie strzegą wcale. Postanowił tedy pan miecznik wyprawić naprzód pachołka z lista-

mi do ekonomów, aby natychmiast chłopstwo ze wszystkich wiosek, do niego i do innych Billewiczów należących, zbierali i zbroili.

Następnie sześciu zaufanych czeladzi miało niby ruszyć do Billewicz po solówki z pieniędzmi i srebrem, ii w rzeczy zatrzymać się w lasach girlakolskich i tam na państwo z końmi, tobołami i żywnością czekać. Oni sami ułożyli, że z Taurogów wyjadą z dwoma czeladnikami w saniach, niby tylko do pobliskiej Gawny, ipoczem na konie wierzchowe przesiądą i z kopyta ruszą. Do Gawny jeździli często do państwa Kuczuków-Olbrotowskich, gdzie czasem zostawali i na noc, spodziewali się zatem, że wyjazd ich nie zwróci niczyjej uwagi i że pogoń za nimi nie pójdzie, chyba we dwa lub trzy dni potem, gdy będą już wśród kup zbrojnych i w głębi niezbrodzonycli lasów. Nieobecność księcia Bogusława utwierdzała ich w tej nadziei.

Tymczasem pan Tomasz zajął się bardzo czynnie przygotowaniami. Pacholik z listami wyjechał na drugi dzień. Trzeciego rozmawiał pan miecznik obszernie z Patersonem o swoich zakopanych pieniądzach, których, jak mówił, było nad sto tysięcy, i o potrzebie przewiezienia ich do bezpiecznych Taurogów. Paterson uwierzył z łatwością, albowiem szlachcic uchodził za bardzo bogatego i był nim w istocie.

— Niech je przywożą jak najprędzej, —

rzekł Szkot, — jeśli potrzeba, to i żołnierzy jeszcze dodam.

— Jm mniej ludzi będzie wiedziało, co wiozę, tem lepiej. Czeladź moja wierna, a solówki każę im pieńką przykryć, którą często z naszych stron do Prus wożą, albo też klepkami, na które nikt się nie ułakomi.

—■ Lepiej klepką, — rzekł Paterson, — bo przez konopie szablą albo dzidą można namacaó, że coś innego na dnie wozu leży. A pieniądze najlepiej wasza mość księciu panu na skrypt oddaj. Wiem też, że potrzebuje pieniędzy, bo intraty źle dochodzą.

— Chciałbym się księciu tak przysłużyć, aby niczego nie potrzebował — odparł szlachcic.

Na tem skończyła się rozmowa i wszystko zdawało się składać jak ¡najpomyślniej, gdyż zaraz potem ruszyła czeladź, a miecznik z Oleńką mieli wyjechać nazajutrz.

Tymczasem wieczorem wrócił najniespodziewaniej Bogusław, na czele dwóch regimentów rajtarji pruskiej. Sprawy jego nie musiały iść zbyt pomyślnie, bo wrócił zły i zgryziony.

Tego jeszcze dnia zwołał radę wojenną, którą składali pełnomocnik elektorski hr. Sejdewitz, Paterson, Sakowicz i pułkownik rajtarski Kyritz. Obradowali do godziny trzeciej w nocy, a celem obrad była wyprawa na Podlasie przeciw panu Sapieże.

— Elektor i król szwedzki zasilili mnie w miarę wojskiem — mówił książę. — Jedno z dWojga: albo Sapiehę zastaniem jeszcze na Podlasiu, i w takim razie musimy go zetrzeć; albo nie, — wówczas Podlasie zajmiem bez oporu. Do wszystkiego jednak trzeba pieniędzy, a tych mi elektor ni jego szwedzki majestat nie dali, bo sami nie mają.

— U kogoż pieniędzy szukać, jeżeli nie u waszej książęcej mości — odrzekł hr. Sejdewitz. — W całym świecie mówią o nieprzebranych radziwiłłowskich skarbach.

Na to Bogusław:

— Panie Sejdewitz, gdyby mnie dochodziło wszystko, co mi z dziedzicznych dóbr należy, pewniebym miał więcej grosza, niż pięciu waszych niemieckich książąt w kupę wziętych. Ale w kraju wojna, intraty nie dochodzą lub też przez rebelizantów bywają przejmowane. Możnaby gotowizny dostać na skrypty od miast pruskich, wszelako waść najlepiej wiesz, co się w nich dzieje, i że chyba dla jednego Jana Kazimierza rozwiązałyby worki.

— A Królewie.c?

— Co, można było wziąć, tom wziął, ale tego mało.

— Za szczęście sobie poczytuję, że się będę mógł waszej książęcej mości dobrą radą przysłużyć —■ rzekł Paterson.

— Wołałbym, żebyś się przysłużył gotówką.

— Warta jej ta rada. Nie dawniej jak wczoraj mówił mi pan Billewicz, że mit zacne kwoty, zakopane w sadzie w Billewiczach, i że właśnie clice je tu w bezpieczne miejsce przenieść, aby je waszej książęcej wysokości na skrypt oddać.

— A toś mi z nieba spadł i ów szlachcic także! — zawołał Bogusław. — A siłaż tam tego będzie?

— Nad sto tysięcy, prócz sreber i kosztowności, których bodaj że drugie tyle.

— Sreber i kosztowności szlachcic nie 'że-chce na gotowiznę zmieniać, ale można je będzie zastawić. Wdzięczenem ci, Paterson, bo w porę mi to przychodzi. Muszę z Billewiczem zaraz jutro pomówić.

— To go uprzedzę, bo właśnie jutro wybiera się z panną do Gawny, do państwa Kuczuków-Olbrotowskich.

— Uprzedź go, by nie wyjeżdżał, nim się ze mną nie obaczy.

— Czeladź już posłana, boję się tylko, czy bezpiecznie dojedzie.

— Można będzie posłać za nimi cały regiment, wreszcie pogadamy. W porę mi to, w porę! A i pocieszna rzecz, jeżeli Podlasie za pieniądze tego regalisty i patrjoty od Rzeczypospolitej oderwę.

To rzekłszy, książę pożegnał radę, bo rnusiał jeszcze oddać się w ręce pokojowych, których zadaniem było codzień przed nocą ką-

pielami, maściami i różnemi sztukami, znanemi tylko zagranicą, nadzwyczajną jego urodę konserwować. Trwało to zwykle godzinę, a czasem i dwie; książę zaś i bez tego był znużon drogą i późną godlziną.

Nazajutrz rano Paterson zatrzymał miecznika i Oleńkę oznajmieniem, iż książę pragnie się z nimi widzieć. Trzeba było wyjazd odłożyć, ale nie zaniepokoili się tern zbytnio, bo Paterson powiedział, o co chodzi.

W godzinę później nadszedł książę. Mimo, iż i pan Tomasz i Oleńka przyrzekli sobie najświęciej, iż przyjmą go po dawnemu, i mimo wszelkich wysileń, nie mogli tego dokazać.

Jej twarz zmieniła się, a miecznikowa nabiegła krwią na widok młodego księcia — i przez chwilę stali oboje zmieszani, wzburzeni, próżno usiłując do zwykłej powrócić sipokojności.

Książę, przeciwnie, swobodny był zupełnie, tylko trochę pomizerniał w oczach i twarz miał mniej ubarwioną, niż zwykle, ale właśnie ta jego bladość cudnie odbijała od perłowej rannej szaty, przerabianej srebrem; spostrzegł jednak natychmiast, iż przyjmują go jakoś inaczej i mniej radzi widzą, aniżeli zwyczajnie. Ale pomyślał zaraz, że pewnie tych dwoje regalistów dowiedziało się o jego stosunkach ze Szwedami i stąd ten chłód w przyjęciu.

Postanowił więc sypnąć im natychmiast pia-

skiem w oczy, i po zwykłych komplementach powitalnych, tak zaczął:

— Panie mieczniku dobrodzieju, słyszałeś już zapewne waszmość, jakie nieszczęście mnie spotyka...

— Wasza książęca mość chce mówić o śmierci księcia wojewody? — odparł miecznik.

— Nietylko o śmierci. Cios to okrutny, wszelako już zdałem się na wolę Boga, który, jak tuszę, wszystkie krzywdy bratu memu hojnie wynagrodził, ale na mnie nowy ciężar zesłał, bo muszę wojnę domową prowadzić, a dla każdego obywatela, miłującego ojczyznę, gorzka to dola...

Miecznik nie odrzekł nic, tylko spojrzał nieco bokiem na Oleńkę.

Książę zaś mówił dalej:

— Moją pracą, moim trudem, a Bóg jeden wie, jakim kosztem, doprowadziłem już pokój do skutku. Prawie o podpisanie traktatów tylko chodziło. Mieli Szwedzi wyjść z Polski, żadnej nagrody nie żądając, prócz przyzwolenia królewskiego i stanów, aby po śmierci Jana Kazimierza Carolus na tron polski był obrany. Wojownik tak wielki i potężny zbawieniem byłby dla Rzeczypospolitej. Co więcej, zaraz teraz miał zostawić posiłki na wojnę ukrainną i na moskiewską. Jeszczebyśmy granice rozszerzyli; ale panu Sapieże to nie na rękę, bo nie mógłby gnębić Radziwiłłów.

Wszyscy się już na owe traktaty zgodzili, on jeden się zbrojną ręką przeciwi; za nic mu ojczyzna, byle prywaty mógł dochodzić. Aż przyszło do tego, że trzeba oręża przeciw niemu użyć, którą funkcję właśnie mnie, za tajemną zgodą Jana Kazimierza i Carolusa, powierzono. Ot, co jest! Nie wybiegałem się nigdy od żadnej służby, więc i tej podjąć się muszę, choć niejeden będzie mnie krzywo sądził i pomyśli, że bratobójczą wojnę z samej tylko zemsty wszczynam.

Na to miecznik:

— Kto waszą książęcą mość poznał tak dobrze, jako my, tego pozory nie uwiodą i zawsze prawdziwe intencje waszej książęcej mości zrozumieć potrafi.

Tu pan miecznik, zachwycony własną chytrością i polityką, mrugnął tak wyraźnie na Oleńkę, że ta aż przelękła się, by tych znaków nie ujrzał książę.

Ten jedlnak spostrzegł.

— Nie wierzą mi -— pomyślał.

I chociaż .gniewu na twarzy nie okazał, przecież ubodło go to w duszy. Był on zupełnie szczerze przekonany, że obrazą jest nie wierzyć Radziwiłłowi, nawet wówczas, gdy mu się spodoba zmyślać.

— Paterson mówił mi, — rzekł po chwili,— że wasza mość chcesz gotowiznę swą na skrypt mi oddać. Chętnie w tern waści dogodzę, gdyż przyznaję, że gotowy grosz i mnie teraz na

rękę. Gdy spokój nastanie, uczynisz, co zechcesz: albo kwotę odbierzesz, albo-li też dam waszmości parę wsi w zastaw, tak, aby to z korzyścią dla cię było.

Tu zwrócił się książę do Oleńki:

— Przebacz waćpanna, że przy tak doskonałej istocie nie o supiracli [1], ani idyllach mówimy. Niesłuszna to rozmowa, jeno czasy takie, iż uwielbieniu i admiracji przystojnej folgi dać nie można.

Oleńka spuściła oczy i chwyciwszy końcami palców za suknię, uczyniła dyg przynależny, nie chcąc nic odpowiadać.

Tymczasem miecznik ułożył sobie w głowie projekt niesłychanie niedołężny, ale który sam za nadzwyczaj przebiegły poczytał.

— Iz dziewczyną ucieknę i pieniędzy nie pożyczę — pomyślał.

Zaczeni odchrząknąwszy i pogładziwszy kilkakroć czuba, tak rzekł:

— Miło mi będzie waszej książęcej mości wygodzie. Nie mówiło się też Paterspnowi o wszystkiem, bo i z czerwonemi złotemi półgarncówka się znajdzie, zakopana osobno, aby, w razie przygody, całej gotowizny nie utracić. Prócz tego są i innych Billewiczów solówki, ale te podczas mojej nieobecności pod dyrekcją[2] tej oto panny zakopywano i ona jedna potrafi wykalkulować miejsce, bo

[1] tu: o sprawach wzruszających, wywołujących westchnienia. [2] kierownictwem.

człowiek, który je nosił, umarł. Pozwólże nam wasza książęca mość jechać obojgu, to przywiezieni wszystko.

Bogusław spojrzał na niego bystro.

— Jakto? Paterson powiadał, żeś już waszmość czeladź wysłał, a skoro wyjechała, to musi wiedzieć, gdzie pieniądze.

— Ale o innych nikt nie wie, tylko ona.

— Przecie muszą być zakopane w jakiemś wyraźnem miejscu, które wskazać słowy, albo delineare [1] na papierze łatwo.

— Słowo wiatr, — odrzekł miecznik, — a na delineacjach czeladź się nie zna. Pojedziemy oboje, ot, co!

— Dla Boga! toż waść musi znać dobrze swoje sady, więc jedź sam. Poco panna Aleksandra ma jechać?

— Sam nie pojadę! —• odrzekł rezolutnie pan miecznik.

Bogusław po raz drugi spojrzał nań badawczo, poczerń siadł wygodniej i trzciną, którą trzymał w ręku, począł uderzać się po butach.

— Koniecznie? — rzekł. — A dobrze! Ale w takim razie dam wam dwa regimenty jazdy, które was odwiozą i przywiozą.

— Nie potrzeba nam żadnych regimentów. Sami pojedziem i wrócim. To nasze strony, nic nam tam nie grozi.

---

[1] narysować.

— Jako gospodarz czuły na dobro swych gości, nie mogę pozwolić, ażeby panna Aleksandra jechała bez siły zbrojnej, — wybieraj więc waść: albo sam, albo oboje z eskortą.

Pan miecznik spostrzegł, że wpadł we własne sidła, i do takiego go to gniewu przywiodło, że zapomniawszy o wszelkich ostrożnościach, zakrzyknął:

— To wasza książęca mość wybieraj: albo pojedziem oboje bez regimentów, albo pieniędzy nie dam!

Panna Aleksandra spojrzała na niego błagalnie, lecz on już poczerwieniał i sapać począł. Był to jednak człowiek z natury ostrożny, nawet nieśmiały, lubiący zgodnie wszystkie sprawy załatwiać, — ale zato gdy raz przebrano z nim miarę, gdy sobie zbytnio przeciw komu na wąs namotał, lub gdy o billewiczowski honor chodziło, wówczas z desperacką jakąś odwagą rzucał się do oczu, choćby najpotężniejszemu nieprzyjacielowi.

Więc i teraz porwał się ręką za lewy bok, i trzasnąwszy szablą, począł krzyczeć na całe gardło:

— Cóż to tu, jasyr? Oprymować clicą wolnego obywatela? kardynalne [1] prawa deptać?

Bogusław, oparty plecami o poręcz krzesła, patrzył na niego uważnie, bez widomych oznak gniewu, jeno wzrok jego stawał się

[1] zasadnicze.

z każdą chwilą zimniejszy, a szpicrutą coraz szybciej uderzał się po butach. Gdyby pan miecznik znał go lepiej, wiedziałby, że ściąga na swą głowę groźne niebezpieczeństwo.

Stosunki z Bogusławem były poprostu straszne, dlatego, że nigdy nie było wiadomo, kiedy nad dwornym kawalerem i przywykłym do panowania nad sobą dyplomatą weźmie górę dziki i niepohamowany magnat, depcący z okrucieństwem despoty wchodniego wszelki opór. Świetne wychowanie, ogłada zdobyta na najpierwszycli dworach europejskich, rozwaga, której nabrał w stosunkach ludzkich, i wykwintność,‘były jakby cudne a potężne kwiaty, pod któremi taił się tygrys.

Lecz miecznik nie wiedział o tern i w zaślepieniu gniewnem krzyczał dalej:

— Wasza książęca mość nie udawaj dłużej, bo cię znają!... i bacz, że ni król szwedzki, ni elektor, którym obum przeciw ojczyźnie służysz, ni twoje księstwo, przed trybunałem cię nie osłoni, a szable szlacheckie nauczą moresu... młodziku!...

Na to Bogusław wstał, w jednej chwili skruszył trzcinę w żelaznych rękach, i cisnąwszy drzazgi pod nogi miecznika, rzekł strasznym, przyciszonym głosem:

— Ot, mi wasze prawa! Ot, wasze trybunały! Ot, wasze przywileje!

— Gwałt okropny! — krzyknął miecznik.

— Milcz szlaclietko! — krzyknął książę — bo cię w proch zetrę!

I szedł ku niemu, by porwać zdumiałego szlachcica za pierś i rzucić nim o ścianę.

Wtem Billewiczówna stanęła między nimi.

— Co wasza książęca mość chcesz uczynić? — rzekła.

Książę zatrzymał się.

Ona zaś stała z rozdętemi nozdrzami, z płonącą twarzą i ogniem w oczach, jak gniewna Minerwa. Pierś jej wzdymała się pod stanikiem, nakształt fali morskiej, i tak była cudna w tym gniewie, że Bogusław zapatrzył się w nią, wszystkie żądze wypełzły mu na twarz, jakoby węże w pieczarach duszy zamieszkałe.

Po chwili gniew jego przeszedł, przytomność wróciła, — czas jakiś patrzył jeszcze w Oleńkę, nakoniec twarz mu złagodniała, skłonił głowę na piersi i rzekł:

— Przebacz anielska panno!... Duszę mam pełną zgryzot a bólu, więc i sobą nie władnę.

To rzekłszy, wyszedł z komnaty.

Wówczas Oleńka załamała ręce, a miecznik, oprzytomniawszy, chwycił się za czuprynę i zakrzyknął:

— Jam to popsował wszystko, jam przyczyną twej zguby!

Książę nie pokazał się przez cały dzień. Obiadował nawet u siebie, samowtór z panem Sakowiczem. Wzburzony do dna duszy, nie

mógł myśleć tak jasno, jak zwykle. Trawiła go jakaś goryczka. Była to zapowiedź ciężkiej febry, która miała go niebawem uchwycić z taką siłą, że w czasie jej napadów drętwiał zupełnie, tak, iż musiano go rozcierać. Ale on przypisywał w tej chwili stan swój nadzwyczajnej sile miłości i rozumował, że albo musi ją zaspokoić, albo umrze.

Tymczasem, opowiedziawszy Sakowiczowi całą rozmowę z miecznikiem, tak mówił:

— Ręce i nogi mnie palą, mrowie chodzi po krzyżach, w gębie czuję gorycz i ogień. A! do wszystkich rogatych dljabłów, co to jest?... Nigdy mi się to nie trafiało!...

— Boś wasza książęca mość skrupułami nadziany, jak pieczony kapłon kaszą... Książę kurzejec[1], książę kurzejec! Cha! cha!

— Głupiś!

— Dobrze!

— Nie konceptów mi twoich trzeba!

— Weź, mości książę, lutnię i pójdź pod okna dziewki, może ci pokaże... pięść... miecznik. Tfu! do licha, takiż to z Bogusława Radziwiłła rezolut?

— Dureń-eś!

— Dobrze! Widzę, że wasza książęca mość zaczynasz ze sobą rozmawiać i prawdę sobie w oczy gadać. Śmiało, śmiało! Proszę na godność nie uważać!

---

[1] ni kogut, ni kura.

— Bo widzisz, Sakowicz, że mój Kastor [1] poufali się ze mną, to i tak często go w ziobro nogą kopnę, a ciebie cięższa mogłaby spotkać przygoda.

Sakowicz zerwał się na równe nogi, niby zaperzony, jak niedawno miecznik rosieński, a że miał nadzwyczajny dar udawania, więc począł krzyczeć głosem tak do miecznikowego podobnym, że nie widząc, kto mówi, możnaby się omylić.

— Cóż to, jasyr? oprymować chcą wolnego obywatela, kardynalne prawa deptać?

— Daj spokój! daj spokój! — mówił gorączkowo książę — bo tam ona tego starego bałwana własną osobą zastawiła, a tu niemasz, ktoby cię bronił.

— Kiedy go zastawiła, to trzebił było ją w zastaw brać!...

— Nie może inaczej być, tylko tu są jakoweś czary. Albo musiała mi coś zadać, albo konstelacje [2] są takowe, że poprostu od zmysłów odchodzę... Żebyś ty ją widział, jak tego parszywego stryjca broniła... Aleś ty kiep! W głowie mi się mąci! Patrz! jako mi ręce gorzeją! Taką miłować, taką przygarnąć, z taką...

— Potomstwo mieć! — dodał Sakowicz-

— A tak! a tak! jakbyś wiedział, — i musi to być, bo inaczej' rozerwą mnie płomienie,

---

[1] tu: imię psa. [2] układ gwiazd, rzekomo oddziałujący na bieg wydarzeń.

jak granat. Dla Boga! co się ze mną dzieje?... Ożenię się, czy co, u wszystkich ziemskich i piekielnych djabłów?

Sakowicz spoważniał.

— O tein wasza książęca mość nie powinieneś myśleć!

— Właśnie, że myślę, właśnie, że jak zeclicę, to tak uczynię, choćby regiment Sakowiczów powtarzał mi przez cały dzień: „O tern wasza książęca mość nie powinieneś myśleć!“

— Ej, to widzę nie żarty!

— Chorym jest, oczarowany, nie może inaczej być!

— Czemu wasza książęca mość nie idzie w ostateczności za moją radą?

— Chyb;i pójdę! Niech zaraza porwie wszystkie sny, wszystkich Billewiczów, całą Litwę wraz z trybunałami i Janem Kazimierzem w dodatku. Nie wskóram inaczej... Widzę, że nie wskóram! Dość tego! Co? Wielka rzecz! wielka sprawa! I ja, kiep, ważyłem się dotąd na dwie strony! Bałem się snów, Billewiczów, procesów, chasy szlacheckiej, fortuny Jana Kazimierza!... Powiedz mi, żem kiep! Słyszysz? rozkazując powiedzieć mi, żem kiep!

— A ja nie usłucham, boś teraz właśnie Radziwiłł, a nie kalwiński wikary. Ale chory musisz być wasza książęca mość naprawdę, bom cię w takiej alteracji nigdy nie widział.

— Prawda! aha! W najcięższych terminach jenom ręką machał i pogwizdywał, a teraz czuję, jakoby mi kto ostrogi w boki wpierał.

— Dziwna to jest, bo jeśli ta dziewka umyślnie waszej książęcej mości co zadała, to nie dlatego, żeby potem miała uciekać, a przecież z tego, coś mi wasza książęca mość mówił, pokazuje się, że oni oboje chcieli się pocichu wynieść-

— Powiadał mi Ryff, że to wpływ Saturna[1], na którym wyziewy palące w tym właśnie miesiącu się podnoszą.

— Mości książę, wolej Jowisza weź sobie za patrona, bo temu bez ślubów się szczęściło. Wszystko będzie dobrze, tylko o ślubie wasza książęca mość nie wspominaj, chyba o malowanym...

Nagle pan starosta oszmiański uderzył się w czoło.

— Czekaj-no, wasza książęca mość... Słyszałem o podobnym wypadku w Prusiech...

— Szepce-li ci djabeł co do ucha, powiadaj ?

Lecz pan Sakowicz długo nic nie odpowiadał, wreszcie twarz mu się rozjaśniła i rzekł:

— Podziękuj, mości książę, swojej fortunie, że ci Sakowicza za przyjaciela dała.

— Co nowego? co nowego?

---

[1] planety tej nazwy.

— Ej nic! będę drużbą waszej książęcej mości — tu Sakowicz skłonił się, — zaszczyt to dla takiego chudopachołka niemały...

— Nie błaznuj, mów prędko!

— Jest w Tyłży niejaki Plaska, czy tam jak, który swego czasu był księdzem w Nieworanach, ale rewokowawszy, luterstwo przyjął, ożenił się i pod protekcję elektora się schronił, a teraz wędzoną rybą ze Żmudzią handluje. Swego czasu starał się nawet biskup Parczewski, żeby go napowrót na Żmudź dostać, gdzieby mu pewnie stosik pod nogi podłożono [1], — ale elektor nie chciał współwiercy wydać.

— Co mnie to obchodzi? Nie marudź!

— Co waszą książęcą mość to obchodzi? Owóż powinno obchodzić, bo on was zszyje, jako wierzch z podszewką, rozumiesz, wasza książęca mość? A że kiepski majster i do cechu nie należy, łatwo będzie po nim rozpruć, — rozumiesz, mości książę? Tego szycia cechowi za ważne nie uznają, a przecie nie będzie ni gwałtów, ni hałasów- Majstrowi będzie można potem łeb ukręcić, wasza książęca mość zaś sam będziesz narzekał, że było podejście, rozumiesz? Zaś przedtem: „crescite et multiplicamini“... Pierwszy daję moje błogosławieństwo.

— Rozumiem, i nie rozumiem — rzekł

---

[1] spalonoby go na stosie.

książę. — Djabła tam! pojmuję doskonale. Sakowicz! musiałeś już jak strzyga [1] z zębami na świat się urodzić. Kat cię czeka, nie może inaczej być... 0 panie starosto!... Ale póki żyję, włos ci z głowy nie spadnie, a kontentacja przystojna nie minie... Ja tedy...

— Wasza książęca mość oświadczysz się solennie o rękę panny Billewiczówny, jej samej i miecznikowi. Jeśli ci odmówią, jeśli się nie uda, to każ ze mnie skórę ściągnąć* rzemienie do sandałów z niej zrobić i iść na pokutną pielgrzymkę do... Rzymu. Radziwiłłowi można się najeżyć, gdy zechce pokochać, ale gdy *ze*chce się żenić, tedy żadnego szlachcica nie będzie potrzebował pod włos głaskać. Musisz tylko wasza książęca mość powiedzieć miecznikowi i pannie, że ze względu na elektora i króla szwedzkiego, którzy cię z księżniczką biponcką [2] swatają, małżeństwo musi pozostać sekretne, dopóki pokój nie (będzie zawarty. Zresztą intercyzy[3] piszcie, jakie chcecie. Wszystko to oba kościoły muszą uznać za nieważne... A co?

Bogusław milczał przez chwilę, tylko na obliczu pojawiły mu się pod farbą gorączkowe plamy czerwone. Po chwili rzeki:

---

[1] rodzaj człowieka-wampira, który po śmierci wysysa krew ludzką. [2] z Bipontu, t. j. Dwóch Mostów, w ówczesnym Palatynacie Reńskim. [3] umowy przedślubne, zabezpieczające prawa majątkowe małżonków.

— Czasu niema, za trzy dni muszę, muszę na Sapiehę wyruszyć.

— To właśnie! Gdyby czasu było więcej, niepodobnaby było pozorów usprawiedliwić. Jakże? Tyliko brakiem czasu wytłumaczysz wasza książęca mość, że pierwszy lepszy ksiądz przyjeżdża, jako w nagłych razach bywa, i na pytel[1] ślub daje. Oni toż samo pomyślą: „Prędko, bo musi być prędko!“ Rycerska to dziewka, więc wasza książęca mość i na wyprawę zabrać ją ze sobą możesz... Królu miły, jeślić Sapieha pobije, to i tak w połowie Wiktorem będziesz.

— Dobrze, dobrze! — rzekł książę.

Lecz w tej chwili uchwycił go pierwszy paroksyzm, tak, iż szczęki mu się zacięły i słowa więcej przemówić nie mógł. Zesztywniał cały, a potem poczęło nim rzucać, i drgał, jako ryba wyjęta z wody. Wszelako, nim przestraszony Sakowicz zdołał sprowadzić medyka, paroksyzm przeszedł.

ROZDZIAŁ III.

Po rozmowie z Sakowiczem książę Bogusław udał się nazajutrz popołudniu wprost do miecznika rosieńskiego.

— Panie mieczniku dobrodzieju! — rzekł

---

[1] pośpiesznie, byle jak.

na wstępie — zawiniłem ciężko ostatnim razem, bom się uniósł we własnym domu. Mea culpa!... i tem większa, żem ten afront uczynił człowiekowi z rodu od wieków zaprzyjaźnionego z Radziwiłłami. Ale przychodzę błagać o przebaczenie. Niech szczere przyznanie waszmości panu za satysfakcję, mnie za pokutę wystarczy. Waszmość znasz oddawna Radziwiłłów, wiesz, żeśmy do przeprosin nieskorzy; wszelako, żem to wiekowi i powadze uchybił, pierwszy, nie bacząc, ktom jest, przychodzę z powinną głową. A już też, stary przyjacielu naszego domu, dłoni mi, wierzę, nie umkniesz?

To rzekłszy, wyciągnął rękę, a miecznik, w którego duszy pierwszy impet już przeszedł, nie śmiał mu swej odmówić, choć podał ją, ociągając się, i rzekł:

— Wasza książęca mość, wróć nam wolność, a to będzie najlepsza kontentacja.

— Jesteście wolni i możecie jechać, choćby dziś.

— Dziękuję waszej książęcej mości —• odrzekł zdziwiony miecznik.

— Jedną tylko stawię kondycję, której, daj Bóg, żebyś nie odrzucił.

— Jakąż to! — spytał z obawą miecznik.

— Ażebyś chciał wysłuchać cierpliwie tego, coć powiem.

— Jeżeli tak, tedy będę słuchał, chociażby do wieczora.

— Nie dawaj mi zaraz responsu, jeno się namyśl godzinę, albo i dwie.

— Bóg widzi, że, byłem wolność odzyskał, pragnę zgody.

— Wolność waópan dobrodziej odzyszczesz, nie wiem tylko, czy korzystać z niej zechcesz i czy ci pilno będzie opuścić moje progi. Radbym, żebyś mój dom i całe Taurogi za swoje uważał, ale teraz słuchaj: Czy wiesz waszmość, mój dobrodzieju, dlaczegom się sprzeciwiał wyjazdowi panny Billewiczówny? Oto dlatego, żem odgadł, iż uciec poprostu chcecie, a ja takem się w synowicy waszmościnej rozkochał, iż, byle ją widzieć, Hellespontbym[1] codzień przepływać gotów, jako ów Leander dla Hery... [2]

Miecznik poczerwieniał na nowo w jednej chwili.

— Mnie to wasza książęca mość śmiesz mówić?...

— Właśnie waszmości, mój szczególniejszy dobrodzieju.

— Mości książę! Szukaj fortuny u dworek, a szlacheckiej dziewki nie tykaj, boć zasię! Możesz ją więzić, możesz do sklepu [3] zamknąć, ale ci jej pohańbić nie wolno!

— Pohańbić nie wolno, — odrzekł książę, — ale wolno pokłonić się staremu Billewiczowi

---

[1] dziś cieśnina Dardanelska, oddzielająca Europę od Azji. [2] para kochanków z podania greckiego. [3] tu: lochu.

i rzec mu: Słuchajcie, ojcze! dajcie mi swoją synowicą za żonę, bo mi żyć bez niej nijak.

Miecznik tak zdumiał, że słowa przemówić nie mógł, przez czas jakiś tylko wąsami ruszał, a oczy wyszły mu nawierzcli; potem jął je sobie pięściami przecierać i spoglądać to na księcia, to wokoło po komnacie, wreszcie rzekł:

— We śnie-li to, czy na jawie?

— Nie śpisz, dobrodzieju, nie śpisz, a żebyś się jeszcze lepiej przekonał, toć powtórzę cum omnibus titulis:[1] Ja, Bogusław książę Radziwiłł, koniuszy Wielkiego Księstwa Litewskiego, proszę ciebie, Tomasza Billewicza, miecznika rosieńskiego, o rękę synowicy twej, panny łowczanki Aleksandry.

— Jakże to? Dla Boga! czyś wasza książęca mość rozważył?

— Ja rozważyłem, — teraz ty rozważ, dobrodzieju, czyli kawaler godzien panny...

— Bo ze zdziwienia dech mi zaparło...

— Poznaj, czylim miał jakowe niecnotliwe intencje...

— I wasza książęca mość nie zważałbyś na stan nasz chudopacholski?

— Tacyż to Billewicze tani, tak-że to klejnot wasz szlachecki i starożytność rodu cenisz? Zali to Billewicz mówi?

— Mości książę, wiem, że początków rodu

---

[1] z wszystkiemi tytułami.

naszego w Rzymie starożytnym szukać należy, ale...

— Ale — przerwał książę — hetmanów, ni kanclerzy, nie macie. Nic to! elektorami wszakże jesteście, jako mój wuj brandenburski. Skoro w naszej Rzeczypospolitej szlachcic królem obran być może, to niemasz za wysokich iprogów na jego nogi. Ja, mój miecznику, a da Bóg, mój stryj aszku, rodzę się z księżniczki ¡brandenburskiej, ojciec mój z Ostrogskiej, ale dziad, wielkiej pamięci Krzysztof Pierwszy, ten, którego Piorunem zwali, hetman wielki, kanclerz i wojewoda wileński, żonaty był primo voto z Sobkówną, a dlatego mitra mu z głowy nie spadła, bo Sobkówną była szlachcianka, tak zacnie urodzona, jak i inne. Zato gdy nieboszczyk rodzic z elektorówną się żenił, to wydziwiano, że na godność nie pamięta, chociaż z panującym domem się łączył. Taka u was djabla szlachecka pycha. No, dobrodzieju, przyznaj, że nie myślisz, żeby Sobek od Billewicza był lepszy? No?...

Tak mówiąc, począł książę klepać z wielką poufałością pana miecznika po łopatce, a szlachcic zmiękł jak wosk i odrzekł:

— Bóg waszej książęcej mości zapłać za zacne intencje... Ciężar spada z serca! Ej, mości książę, żeby jeszcze nie różnica wiary!...

—■ Ksiądz katolicki będzie ślub dawał, innego ja sam nie chcę.

— Całe życie będziem za to wdzięczni, bo tu chodzi o błogosławieństwo Boże, którego pewnieby Pan Jezus umknął, gdyby jaki paskudnik...

Tu ugryzł się w język pan miecznik, bo zmiarkował, że nieprzyjemną dla księcia rzecz cliciał powiedzieć, lecz Bogusław ani zauważył, owszem uśmiechnął się łaskawie i dodał:

—• I co do potomstwa nie będę się upierał, bo niemasz takiej rzeczy, którejbym dla tej waszej śliczności nie uczynił...

Miecznika twarz rozjaśniła się, jakby na nią promienie słońca padły.

— Już też Bóg tej błaźnicy nie poskąpił urody... Prawda jest!

Bogusław znów poklepał go po ramieniu, i pochyliwszy się szlachcicowi do ucha, począł szeptać:

— A że pierwszy będzie chłopak, to ja ręczę, — i malowanie, nie chłopak!

— Chi! chi!...

— Bo nie może być inny z Billewiczówny.

— Z Billewiczówny za Radziwiłłem — dodał miecznik, rozkoszując się połączeniem tych nazwisk. — Clii! chi! Ot, będzie huczek na całej Żmudzi... A co panowie Sicińscy, nasi nieprzyjaciele, powiedzą, gdy Billewicze tak wyrosną? Wszakże to oni nawet starego pułkownika nie zostawili w spokoju, choć to był mąż rzymskiego pokroju, od całej Rzeczypospolitej uwielbiany.

— Wyścigamy icli ze Żmudzi, mości miecznika !

— Boże wielki, Boże miłosierny, niezbadane są wyroki Twoje, ale jeżeli w wyrokach Twoich leży, aby panowie Sicińscy popękali z inwidji... bądź wola Twoja!

— Amen! — dorzucił Bogusław.

— Mości książę! nie ibierz-że za złe, iż się w godność nie obwijam, jako przystoi temu, którego o dziewkę proszą, i że zbyt jawnie radość okazuję... Lecz owo żyliśmy w strapieniu, nie wiedząc, co nas czeka, i wszystko najgorzej sobie tłumacząc. Przyszło do tego, żeśmy i waszą książęcą mość źle sądzili, aż naraz pokazuje się, że strachy i posądzenia były niesłuszne, i że pierwszemu uwielbieniu folgę dać można. To, mówię waszej książęcej mości, jakoby kto brzemię z ramion zdjął...

— Zali i panna Aleksandra tak mnie sądziła?

— Ona? Choćbym Cyceronem 1 był, jeszczebym jej poprzedniej admiracji dla waszej książęcej mości godnie opisać nie umiał... Tak myślę, że cnota w niej jeno i przyrodzona jakowaś nieśmiałość afektom stała na przeszkodzie... Ale gdy się dowie o szczerych waszej książęcej mości intencjach, tedy jestem pewien, że sercu zaraz cugli popuści, a ono

[1] wymownym jak Cycero, najsławniejszy mówca rzymski.

bryknąć na pastwisko miłości z największym impetem nie omieszka.

—■ Cyceronby tego ozdobniej nie umiał wyrazić! — odrzekł Bogusław.

— Bo przy szczęściu i wymowa się znajdzie. Lecz skoro wasza książęca mość tak wdzięcznie wszystkiego, co prawię, słuchać raczysz, tedy już do ostatka będę szczery.

— Bądź szczery, panie miecznику...

— Bo choć to dziewka młoda, ale hic mulier i przy męskim zgoła umyśle, dziw, jak cliarakterna[1]. Tam, gdzie niejedenby doświadczony człek się zawahał, ona ani się namyśli. Co złe, to na lewo, co dobre, na prawo... a sama też na prawo. Słodkie to niby, a jak raz sobie drogę obierze, chociażby armaty, na nic! bo już nie zboczy. W dziada i we mnie się wdała; ojciec był żołnierz zawołany, ale człek miękki... matka zasię, Wojniłłowiczówna de domo, cioteczna siostra Kulwiecówny, także była cliarakterna.

— Rad to słyszę, mości miecznику!

— Owóż nie uwierzysz, mości książę, jakie to licho na Szwedów, ba! na wszystkich nieprzyjaciół Rzeczypospolitej zawzięte. Gdyby kogoś o zdradę, choćby najmniejszą, posądzała, jużby abominację nieprzezwyciężoną do niego czuła, choćby to anioł był, nie człowiek... Wasza książęca mość! wybacz staremu,

---

[1] o nieugiętym charakterze.

który ojcem twoim mógłby z wieku, jeśli nie z godności być: porzuć Szweda... Toż to gorszy Tatara ojczyzny ciemięzca! Rusz przeciw takim synom swe wojska, a nietylko ja, ale i ona pociągnie z tobą w pole! Wybaczaj wasza książęca mość, wybaczaj!... Ot! powiedziałem, com myślał!

Bogusław przemógł się po chwili milczenia i tak mówić począł:

— Panie mieczniku dobrodzieju! Godziło się wam wczoraj jeszcze przypuszczać, ale dziś już się nie godzi, że wam chcę jeno piaskiem w oczy rzucić, mówiąc, iż po stronie króla i ojczyzny stoję. Owóż pod przysięgą, jako krewnemu, powtarzam, że com o pokoju i o jego kondycjach rzekł, to była szczera prawda. Wołałbym i ja ruszyć w pole, bo mnie do tego natura ciągnie, ale żem widział, iż nie w tern ratunek, z czystej miłości musiałem się innego sposobu chwycić... I to mogę rzec, iżem niesłychanej rzeczy dokazał, bo żeby po straconej wojnie taki pokój zawrzeć, aby zwycięska potęga szła jeszcze na służbę zwyciężonej, tegoby się sam najchytrzejszy z ludzi Mazarin nie powstydził... Nie panna Aleksandra jedna, ale i ja narówni z nią odium do nieprzyjaciół czuję. Co jednak czynić? jako tę ojczyznę ratować? — „nec Hercules contra plures!“ Więc pomyślałem sobie tak: Miast zginąć, co byłoby i łatwiej i pocieszniej, trzeba ją ratować. A iżem się w spra-

wacli tego rodzaju u wielkich statystów ćwiczył, żem to elektora krewny i u Szwedów, za przyczyną brata Janusza, dobrze widziany, wnet począłem rokowania, a jaki był ich cursus [1] i dla Rzeczypospolitej pożytek, to już waszmość wiesz: koniec wojny, uwolnienie z pod! opresji katolickiej waszej wiary, kościołów, duchowieństwa, stanu szlacheckiego, pospólstwa, pomoc szwedzka na wojnę moskiewską i kozacką, a bogdaj rozszerzenie granic... Za to zaś wszystko to jedno ustępstwo, że Carolus po Kazimierzu królem ma zostać. Kto więcej w tych czasach dla ojczyzny uczynił, niech mi stanie do oczu!

— Prawda jest... ślepyby zobaczył... jeno stanowi szlacheckiemu okrutnie markotno będzie, że wolna elekcja ustanie.

— A co ważniejsze: elekcja, czy ojczyzna?

— Wszystko jedno, mości książę, boć to kardynalny fundament Rzeczypospolitej... A cóż jest ojczyzna, jeżeli nie zbiór praw, przywilejów i wolności, stanowi szlacheckiemu przysługujących?... Pana i pod obcem panowaniem znaleźć można.

Gniew i nuda przeleciały błyskawicą po obliczu Bogusława.

— Carolus — rzekł — podpisze pacta conventa [2], jako i poprzednicy podpisywali, a po jego śmierci obierzem sobie, kogo zechcem...

---

[1] przebieg. [2] umowę między królem a narodem, którą zaprzysięgał król po koronacji.

choćby lego Radziwiłła, który się z Billewiczówny narodzi.

Miecznik stał przez chwilę jakoby olśniony tą myślą, nakoniec podhiósł rękę w górę i zakrzyknął z wielkim zapałem:

— Consentior!... [1]

— Tak i ja myślę, że się waść zgadzasz, choćby potem tron dziedziczny w naszej rodzinie miał zostać — rzekł ze złośliwym uśmiechem książę. — Tacyście wszyscy!... Ale to rzecz późniejsza. Tymczasem trzeba, żeby układy do skutku doszły... Rozumiesz waszmość, panie stryjcu?

— Trzeba, jako żywo trzeba! — powtórzył z głębokiem przekonaniem miecznik.

— Dojść zaś mogą dlatego, że wdzięcznym jestem jego szwedzkiemu majestatowi pośrednikiem,— a wiesz waszmość, z jakowych przyczyn?... Oto, Carolus ma jedną siostrę za dc la Gardie, a drugą, księżniczkę biponcką, jeszcze panną, i tę chce za mnie wydać, aby się z domem naszym skoligacić i gotową partję mieć na Litwie. Stąd jego dla mnie powolność, do której go i wuj elektor nakłania.

—- Jakże to? — spytał zaniepokojony miecznik.

— Tak, mości mieczniku, że za waszego gołąbka odidałbym wszystkie księżniczki biponckie, razem z księstwem nietylko Dwóch, ale

---

[1] zgadzam się.

i wszystkich na świecie mostów. Jeno mi drażnić szwedzkiej bestji nie wypada, zaczem udaję powolne dla ich rokowań ucho; ale niech jeno traktat podpiszą, zobaczymy!

— Ba! to gotowi nie podpisać, gdy się dowiedzą, żeś się wasza książęca mość ożenił?

— Mości mieczniku, — rzekł z powagą książę, — posądziłeś mnie o nieszczerość dla ojczyzny... Ja zaś, jako prawy obywatel, pytam cię teraz: mam-li prawo dla swej prywaty dobro Rzeczypospolitej poświęcić?

Pan Tomasz słuchał.

— Więc co będzie?

— Pomyśl sam waszmość: co ma być?

— Dla Boga widzę już, że ślub musi być odłożony, a przysłowie mówi: „Co się odwlecze, to i uciecze“.

— Ja serca nie zmienię, bom na całe życie pokochał, a i to trzeba waszmości wiedzieć, że wiernością samą cierpliwą Penelopę [1] mógłbym zawstydzić.

Miecznik przeląkł się jeszcze bardziej, bo właśnie całkiem przeciwne o wierności książęcej miał mniemanie, które i reputacja powszechna potwierdzała, książę zaś jakby na dobitkę dodał:

— Ale masz wasza mość słuszność, że jutra swego nikt nie pewien: mogę zachorzeć, ba! nawet zbiera mi się na jakowąś obłożnicę [2],

---

[1] żonę Ulissesa, słynną z wierności dla męża, nieobecnego w domu przez 20 lat. [2] ciężką chorobę.

bom wczoraj tak zdrętwiał, że mnie ledwie Sakowicz odratował; mogę umrzeć, zginąć na wyprawie przeciwko Sapieże, a co będzie mitręgi, molestowań, zmartwień, tegoby na wołowej skórze nie spisał.

— Na rany Boskie, radź mości książę!

— Co ja poradzę? — odrzekł ze smutkiem książę, — chociaż sambym rad, ażeby klamka jak najprędzej zapadła.

— Otóż, żeby zapadła... Wziąć ślub, a potem — co 'będzie, to będzie...

Bogusław zerwał się na równe nogi.

— Na świętą ewangelję! Waszmość ze swoim rozumem kanclerzem litewskim powinienbyś zostać. Przez trzy dni innyby tego nie wymyślił, co waszmości odrazu do głowy przyszło! Tak jest! tak! wziąć ślub i cicho siedzieć. To głowa! Ja i tak za dwa dni na Sapiehę ruszam, bo mus! Przez ten czas przejście tajemne do komnatki panieńskiej się urządzi, a potem w drogę! To głowa statysty! Dwóch albo trzech konfidentów do tajemnicy przypuścim i za świadków weźmiem, aby ślub odbył się formaliter! [1] Intercyzę spiszem, wiano ubezpieczym, do którego zapis dołączę, i do czasu — sza! Mieczniku dobrodzieju! dziękujęć z serca, dziękuję! Pójdź w moje objęcia, a potem do mojej śliczności... Będę odpowiedzi jej czekał, jako na węglach! Tymczasem zaś Sakowicza po księdza wyprawię!

---

[1] według przepisów.

Bądź zdrów, ojczyku, a da Bóg, wkrótce i dziadku Radziwiłła!

To rzekłszy, książę wypuścił zdumionego szlachcica z objęcia i wypadł z komnaty.

—■ Dla Boga! — rzekł do siebie, ochłonąwszy, miecznik. — Dałem taką rozumną radę, że i Salomonby się nie powstydził, a wołałbym, żeby się bez niej obyło. Tajemnica — tajemnicą... Wszakże, łam głowę, tłucz łbem o ścianę, nie może inaczej być... Hm! nie może inaczej być! ślepy dojrzy! Bogdaj tych Szwedów mróz ścisnął i wydusił w ostatku!... Żeby nie owe rokowania, to ślub odbyłby się z ceremonjami, jeszczeby cała Żmudź się na weselisko zjechała. A tu do własnej żony mąż musi w wojłokach [1] chodzić, żeby hałasu nie narobić. Tfu, do licha! Nie tak prędko jeszcze Sicińscy popękają, choć Bogu chwała, że ich to nie minie...

To rzekłszy, poszedł do Oleńki.

Książę tymczasem naradzał się w dalszym ciągu z Sakowiczem.

— Tańcował szlachcic na dwóch łapach, jak niedźwiedź, — mówił Sakowiczowi, — ale też mnie wymęczył! Uf! uścisnąłem go za to, aż mu żebra zatrzeszczały, i trząsłem nim tak, iż myślałem, że mu buty razem z wiechciami z nóg zlecą... A com mu powiedział: „stryjcu“, to aż w oczach pęczniał, jakby się całą faską [2]

---

[1] tu: *w* pantoflach. [2] beczułką.

bigosu udławił. Tfu! tfu! poczekaj! uczynię cię stryjcem, ale takich stryjców mam na kopy po całym świecie... Sakowicz! widzę już, jako ona mnie w swojej komnatce czeka i przyjmuje, oczki zamknąwszy i rączęta skrzyżowawszy... Czekaj i ty! wycałuję ja ci te oczki... Sakowicz! weźmiesz dożywociem Prudy za Oszmianą!... Kiedy Plaska może tu stanąć?

— Przed wieczorem! Dziękuję waszej książęcej mości za Prudy...

— Nic to! Przed wieczorem? to znaczy lada chwila... Żeby to można dziś jeszcze, choćby o północy, ów ślub wziąć... Masz gotową intercyzę?

— Mam. Hojny byłem w imieniu waszej książęcej mości. Birże pannie oprawą [1] zapisałem... Będzie miecznik wył jak pies, gdy mu się to potem odbierze.

—- Posiedzi w lochu, to się uspokoi.

—■ Nie trzeba i tego. Jak ślub pokaże się nieważny, to i wszystko nieważne. A nie mówiłem waszej książęcej mości, że się zgodzą?

— Nie czynił najmniejszych trudności... Ciekawym, co ona powie... Jakoś go nie widać!

— Padli sobie w ramiona i z rozczulenia płaczą, a błogosławią waszą książęcą mość, a nad jej dobrocią i urodą się unoszą.

— Nie wiem, czyli nad urodą, bo jakoś mi-

---

[1] jako majątek zabezpieczony na rzecz przyszłej małżonki.

żernie wyglądam. Ciągiem niezdrów, i boję się, żeby ona wczorajsza zdrętwiałość znów nie przyszła.

— Ej, byłeś wasza książęca mość ciepła zażywał...

Książę już stał przed zwierciadłem.

— Oczy mam podsiniałe i kiep Fouret brwi mi dziś krzywo uczernił. Patrz, czy nie krzywo? Każę mu palce wkręcić w kurek od muszkietu, a małpę zrobię swoim kamerdynerem. Co to jest, że miecznika niema?... Chciałbym już do panny! Przecie pocałować się przed ślubem pozwoli... pocałować... posmakować!... Jak prędko się dziś ściemnia... Na Plaskę, jeśliby się wzdragał, trzeba obcążki do ognia wsadzić...

— Plaska nie będzie się wzdragał, to szelma z pod ciemnej gwiazdy!

— I ślub da po szelmowsku.

— Szelma szelmę po szelmowsku ożeni.

Książę wpadł w dobry humor.

— Gdzie rajfur drużbą, nie może być innego ślubu!

Na chwilę umilkli i poczęli się śmiać obaj, ale rzechotanie ich dziwnie złowrogo rozlegało się po ciemnej izbie. Noc zapadała coraz głębsza.

Książę począł chodzić po pokoju, stukając głośno czekanikiem, którym podpierał się silnie, bo od ostatniego odrętwienia nogi mu jeszcze niezbyt służyły.

Wtem pachołkowie wnieśli kandelabry [1] ze świecami i wyszli, lecz pęd powietrza pochylił płomienie świec tak, iż długo nie mogły się palić prosto, topiąc tymczasem obficie wosk.

— Patrz, jak się świece palą — rzekł książę. — Cóż stąd wróżysz?

— Że jedna cnota stopi się dziś jak wosk.

— Dziw, jak długo trwa to cliybotanie.

— Może dusza starego Billewicza przelatuje nad płomieniami.

— Głupiś! — rzekł porywczo Bogusław — ogromnieć głupi! A wybrał też sobie porę do mówienia o duchach!

Nastała chwila milczenia.

— W Anglji powiadają, — ozwał się książę, — że jak duch jakowy jest w izbie, to każda świeca będzie ci się palić błękitno, a te — ipatrz! — płoną żółto, jak zwykle.

— Furda!... — rzekł Sakowicz. — W Moskwie są ludzie...

— Cicho-no!... — przerwał Bogusław. — Miecznik nadchodzi... Nie! to wiatr porusza okiennicą. Djabli nadali tę ciotkę dziewczyny... Kulwiec-Hippocentaurówna! Słyszał kto o czemś podobnem? Ale też i wygląda na Chimerę [2].

---

[1] ozdobne świeczniki stołowe. [2] baśniowego potwora (jak i Hippocentaur).

— Clicesz wasza książęca mość, to się z nią ożenię. Nie będzie wam zawadzać. Plaska nas zlutuje napoczekaniu.

— Dobrze. Dam jej jaworową łopatę [1] na prezent ślubny, a tobie latarnię, żebyś jej miał czem świecić.

— Ale będę twoim wujaszkiem... Bogusiu...

— Pamiętaj na Kastora! — odparł książę.

—■ Nie gładź Kastora, mój Polluksie [2], pod włos, bo może ugryźć!

Dalszą rozmowę przerwało wejście miecznika i panny Kulwiecówny. Książę postąpił ku nim żywo, podpierając się czekanikiem. Sakowicz wstał.

— A co? można do Oleńki? — spytał książę.

Lecz miecznik tylko ręce rozłożył, a głowę spuścił na piersi.

—■ Mości książę! Synowicą moja powiada, że jej testament pułkownika Billewicza zakazuje losem swym rozporządzać, a gdyby nawet nie zakazywał, tedyby za waszą książęcą mość, nie mając do niej serca, nie wyszła.

— Sakowicz! słyszysz? — ozwał się strasznym głosem Bogusław.

— 0 tym testamencie i ja wiedziałem, ■—■ mówił miecznik, — alem w pierwszej chwili

---

[1] aby na niej jeździła na zebrania czarownic. [2] według greckiego podania Polluks był nieodłącznym przyjacielem Kastora, którego imię nosił pies Bogusława.

nie uważał go za niezwalczone impedimentum.

— Drwię sobie z waszych szlacheckich testamentów! — rzekł książę. — Plwam na wasze szlacheckie testamenta! — rozumiesz?!...

—■ Ale my nie drwim! — odparł zaperzony pan Tomasz — a wedle testamentu, wolno dziewce albo do klasztoru, albo za Kmicica.

— Za kogo, szerepetko? za Kmicica?... Pokażę ja wam Kmiciców!... nauczę was!...

— Kogo to, mości książę, szerepetką nazywasz? — Billewicza?!

I miecznik za bok się pochwycił w furji największej, lecz Bogusław w jednej chwili trzasnął go obuchem w piersi, aż w szlachcicu jękło i zwalił się na ziemię, sam zaś, kopnąwszy leżącego nogą, aby drogę do drzwi otworzyć, wypadł bez kapelusza z komnaty.

—- Jezus! Marja! Józef! — wołała panna Kulwiecówna.

Lecz Sakowicz chwycił ją za ramię, i przyłożywszy jej kindżał do piersi, mówił:

—■ Cicho klejnociku, cicho turkaweczko najmilsza, bo ci twoje słodkie gardło poderżnę, jako kulawej kurze. Siedź tu spokojnie i nie chodź na górę, bo tam się wesele twej siostrzenicy odprawia.

Lecz w pannie Kulwiecównie płynęła również krew rycerska, więc ledwie usłyszała słowa Sakowicza, natychmiast przestrach jej zmienił się w rozpacz i uniesienie.

— Łotrze, zbóju! poganinie! — krzyknęła— zarżnij mnie, bo będę krzyczeć na całą Rzeczpospolitą. Brat zabit, krewna pohańbiona, nie cbcę i ja żyć! Bij, zbóju, zarżnij! Ludzie! schodźcie się! patrzajcie!...

Dalsze słowa stłumił Sakowicz, położywszy jej na ustach swą dłoń potężną.

— Cicho, krzywa kądziołko! cicho, zwiędła ruto! — rzekł do niej. — Jać nie będę zarzynał, poco mam dawać djabłu to, co i tak jego, ale żebyś nie mogła jako paw krzyczeć, zanim się uspokoisz, to ci twą wdzięczną buzię własną twoją chustką obwiążę, a sam lutnię wezmę i „wzdychanego“ ci zagram. Nie może być inaczej, jeno muisisz mnie polubić.

Tak mówiąc, pan starosta oszmiański, z wprawą prawdziwego rzezimieszka, okręcił głowę panny Kulwiecówny chustką, pasem skrępował jej w mgnieniu oka ręce, nogi, i rzucił ją na sofę.

Następnie siadł przy niej, i wyciągnąwszy się wygodnie, spytał tak spokojnie, jakgdyby zwykłą rozpoczynał rozmowę:

— Jakże waćpanna myślisz? Ja mniemam, że i Boguś równie sobie łatwo poradzi?

Wtem zerwał się na równe nogi, bo drzwi otworzyły się szybko i ukazała się w nich panna Aleksandra.

Twarz miała białą jak kreda, włos nieco rozrzucony, brew namarszczoną i zgrozę w oczach.

Ujrzawszy leżącego miecznika, przyklękła nad nim i poczęła ręką dotykać jego głowy i piersi.

Miecznik odetchnął głęboko, otworzył oczy, podniósł się nawpół i jął rozglądać się po komnacie, jakby zbudzony ze snu, następnie, wsparłszy się ręką o ziemię, popróbował wstać, co mu się po chwili, przy pomocy panienki, udało, — więc doszedł chwiejnym krokiem do krzesła i rzucił się w nie.

Oleńka teraz dopiero dostrzegła pannę Kulwiecównę, leżącą na sofie.

— Czyś ją waść zamordował? — spytała Sakowicza.

— Uchowaj Boże! — odrzekł starosta oszmiański.

— Rozkazuję́ć rozwiązać!

Tyle było mocy w jej głosie, że Sakowicz nie odrzekł ani słowa, jakgdyby rozkaz wyszedł od samej księżnej Radziwiłłowej, i począł rozwiązywać zemdloną pannę Kulwiecównę.

— A teraz — rzekła panna — idź do twego pana, któren tam leży na górze.

— Co się stało? — krzyknął oprzytomniawszy Sakowicz. — Waćpanna odpowiesz za niego!

— Nie przed tobą, sługo! Precz!

Sakowicz skoczył jak opętany.

ROZDZIAŁ IV.

Sakowicz nie odstępował księcia przez dwa dni, bo drugi paroksyzm cięższy był od pierwszego; szczęki Radziwiłła tak się zwarły, że trzeba je było nożem otwierać, aby do ust wlać lekarstwo trzeźwiące. Zaraz potem odzyskał przytomność, jednakże trząsł się, dygotał, podskakiwał na łożu, wyprężał się jak zwierz śmiertelnie postrzelony. Gdy i to minęło, przyszło osłabienie ogromne; przez całą noc patrzył w sufit, nic nie mówiąc. Nazajutrz, po wzięciu odurzających leków, zapadł w sen twardy i ciężki, a koło południa rozbudził się znowu, zlany potem obfitym.

— Jak się wasza książęca mość czuje? — pytał Sakowicz.

— Lepiej mi. Czy nie przyszły jakowe listy?

— Są od elektora i Steinboka, leżą tu na stole, ale czytanie na później trzeba odłożyć, bo wasza książęca mość sił jeszcze nie masz.

— Dawaj zaraz... słyszysz?

Starosta oszmiański wziął listy i podał, a Bogusław przeczytał je po dwakroć, poczem pomyślał chwilę i rzekł:

— Jutro ruszamy na Podlasie.

— Jutro będziesz, mości książę, w łożu, jako i dzisiaj.

— Będę na koniu, jako i ty!... Milcz, nie przeciw się!...

Starosta umilkł i przez chwilę trwała cisza, którą przerywał tylko poważny i powolny tyk-tak gdańskiego zegara.

— Rada była głupia i pomysł głupi, — rzekł nagle książę, — i ja także głupi, żem cię usłuchał...

— Wiedziałem, że jak się nie uda, to wina na mnie spadnie — odrzekł Sakowicz.

— Boś podrwił głową.

— Rada była roztropna, ale jeśli tam jest jaki djabeł na usługach, który o wszystkiem ostrzega, ja za to nie odpowiadam.

Książę podniósł się na łóżku.

— Myślisz?... — rzekł, patrząc bystro na Sakowicza.

— A wasza książęca mość nie zna papistów?

— Znam, znam! I mnie często do głowy przychodziło, że to mogą być czary. Od wczoraj pewien jestem. Utrafiłeś w moją myśl, dlategom cię spytał, zali naprawdę tak mniemasz? Ale które z nich może w komitywę z siłą nieczystą wchodzić?... Przecie nie ona, bo cnotliwa... i nie miecznik, bo za głupi?...

— A choćby ona ciotka...

— Może to być...

— Dla pewności nakrzyż ją wczoraj wiązałem, a przedtem przyłożyłem jej nóż do gardzieli i — imaginuj sobie wasza książęca mość — patrzę dziś, a ostrze jakoby w ogniu stopione.

— Pokaż!

— Cisnąłem nóż do wody, choć w rękojeści turkus był zacny. Wołałem tego już więcej nie tykać.

—- To ci powiem, co mi się wczoraj przygodziło... Wpadłem do niej jak oszalały. Com mówił, nie pamiętam... ale to wiem, że dziewka krzyknęła: „W ogień pierwej się rzucę!“ Wiesz, jako tam komin ogromny. I wraz skoczyła! Ja za nią. Porwałem ją wpół. Już się szatki na niej zatliły. Musiałem gasić i trzymać zarazem. Wtem dur mnie schwycił, szczęki mi się ścięły... Rzekłbyś, że mnie kto za żyły w szyi szarpnął... Zaczem wydało mi się, że owe iskry, wedle nas latające, zmieniły się w pszczoły i brzęczą jako pszczoły... Ot, jak mnie tu widzisz, prawda!

— I co później?

— Nic już nie pamiętam, jeno taki strach, jakgdybym w niezmierną studnię zlatywał, w jakąś głębię bezdenną. Co za strach!... powiadam ci, co za strach! Teraz jeszcze włosy wstają mi na głowie... I nie sam strach, ale — jakby powiedzieć — i czczość i nuda niezmierna i umęczenie niepojęte... Szczęściem, moce niebieskie były ze mną, inaczej juźbym dziś z tobą nie rozmawiał.

— Wasza książęca mość miałeś paroksyzm... Sama choroba często różne jasełeczka [1] przed

[1] tu: widowiska.

oczy stawia, ale <lla pewności inożnaby kazać nieco lodu na rzece odrąbać i tę babę spławić.

— Jechał ją sęk! I tak jutro ruszamy, a potem przyjdzie wiosna, inne będą zaraz gwiazdy i noce krótkie, wszelką nieczystą siłę debilitujące.

— Skoro mamy jutro ruszać, to już lepiej wasza książęca mość tej dziewki zaniechaj.

— Choćbym nie cliciał, muszę... Wcale żądze dziś ode mnie odpadły.

— Puść ich, niech sobie idą do djabła!

— Nie może być!

— Czemu?

— Bo mi się szlachcic do okrutnych pieniędzy przyznał, które są w Billewiczach zakopane. Puszczę ich, to odkopią i pójdą w lasy. Wolę ich potrzymać, a pieniądze w rekwizycję wziąć... Teraz wojna, to wolno! Zresztą, sam się ofiarował. Każemy sady w Billewiczach skopać piędź przy piędzi; musiniy znaleźć. Miecznik zaś, siedząc tu, przynajmniej hałasu i krzyku na całą Litwę nie naczyni, że go zrabowano. Złości mnie biorą, gdy pomyślę, iłem tu pieniędzy napróżno stracił na owe uciechy i turnieje, a wszystko to na nic! na nic!...

— Mnie już dawno i na tę dziewkę złości brały. A mówię waszej książęcej mości, że gdy wczoraj przyszła i rzekła mi, niby ostatniemu ciurze: „Ruszaj, sługo, na górę, bo tam

pan twój leży“ — tylko com jej głowy nie ukręcił jako szpakowi, ile żem myślał, że to ona sama pchnęła waszą książęcą mość nożem czyli ustrzeliła z krócicy.

—- Ty wiesz, iż nie lubię, żeby kto u mnie rządził jak szara gęś... I dobrze, żeś tego nie uczynił, bo kazałbym cię owemi żelazkami szczypać, które na Plaskę były przygotowane... Wara ci od niej...

— Plaskę jużem wyprawił zpowrotem. Okrutnie był zdziwiony, nie wiedząc, poco go przywieźli i poco każą precz. Chciał coś za fatygę, że to, powiada, „w handlu mam straty“, alem mu rzekł: w nagrodę skórę całą wywozisz!... Zali to naprawdę jutro mamy ruszać na Podlasie?

— Jako Bóg w niebie. A wojska powyprawiane wedle moich rozkazów?

— Rajtarje wyszły już do Kiejdan, skąd mają do Kowna ruszyć i tam czekać... Nasze polskie chorągwie są jeszcze tu; nie zdało mi się naprzód ich wyprawiać. Ludzie niby pewni, a przecie mogliby się z konfederatami zwąchać. Głowbicz pojedzie z nami; semenowie pod Wrotyńskim także, Karlstróm ze Szwedy idzie w przedniej straży... Po drodze ma rozkaz rebelizantów, a zwłaszcza chłopstwo, wycinać.

— Dobrze.

— Kyritz z piechotą ma ciągnąć zwolna, aby w ciężkim terminie było się o kogo

oprzeć. Jeśli mamy iść naprzód jako piorun i cały rachunek nasz na szybkości polega, to nie wiem, jeżeli pruskie i szwedzkie raj tar je będą nam przydatne. Szkoda, że nie staje polskich chorągwi, bo, mówiąc między nami, niemasz nad naszą jazdę...

— A artylerja wyszła?

— Wyszła.

— Jakże? i Paterson?

— Nie! Paterson jest, pilnuje Ketlinga, który własną szpadą zranił się dość szkodliwie. On go bardzo miłuje. Gdybym Ketlinga nie znał, iż odważny oficer, myślałbym, że się umyślnie zakłuł, aby na wyprawę nie iść.

— Trzeba tu będzie ze sto ludzi zostawić, toż w Rosieniach, toż w ICiejdanach. Szwedzkie prezydja szczupłe, a de la Gardie i tak codzień od Loewenhaupta ludzi żąda. Jak jeszcze i my wyjdziemy, rebelja zapomni o szawelskiej klęsce i znów głowę podniesie.

— Rosną oni i tak. Znów słyszałem, iż Szwedów w Telszach wycięto.

— Szlachta? chłopi?

— Chłopi pod przywództwem księdza, ale są i partje szlacheckie, szczególnie wedle Laudy.

— Laudańscy pod Wołodyjowskim wyszli.

— Siła wyrostków i starców zostało. Ci za broń chwytają, bo to wojennicy z rodu.

— Bez pieniędzy nic rebelja nie wskóra.

— A my się w Billewiczach zasilim. Trzeba

być genjuszem, jak wasza książęca mość, żeby tak we wszystkiem znaleźć poradę.

Bogusław gorzko się uśmiechnął.

— Lepiej w tym kraju cenią tego, kto się królowej jejmości i szlachcie akomodować umie. Genjusz ni cnota nie popłaca. Szczęście, żem to i książęciem Rzeszy, a za nogę mnie przecie do sosny nie przywiążą. Byle mnie intraty z dóbr, tu położonych, regularnie dochodziły, nie dbam o całą Rzeczpospolitą.

— Żeby tylko konfiskować nie chciano?

— Pierwej my skonfiskujemy Podlasie, jeśli nie całą Litwę. Tymczasem zawołaj mi Patersona.

Sakowicz wyszedł, i po chwili wrócił z Patersonem. Rozpoczęła się przy łożu książęcem narada, skutkiem której nazajutrz dodnia miano ruszać i nagłemi pochodami ciągnąć na Podlasie. Książę Bogusław wieczorem czuł się już o tyle lepiej, że ucztował razem z oficerami i żartami do późna się bawił, słuchając z przyjemnością rżenia koni i szczęku oręża gotujących się do pochodu chorągwi.

Chwilami oddychał głęboko i przeciągał się w krześle.

— Widzę, że ta wyprawa zdrowie mi wróci, — mówił do oficerów, — bom też wśród tych wszystkich układów i zabaw znacznie pole zależał. Ale w Bogu nadzieja, że poczują rękę moją konfederaci i nasz eks-kardynał w koronie.

Na to zaś Paterson ośmielił się odpowiedzieć:

— Szczęście to, że Dalila [1] nie obcięła włosów Samsonowi.

Bogusław popatrzył na niego przez chwilę dziwnym wzrokiem, od którego Szkot już mieszać się począł, ale po chwili oblicze książęce rozjaśniło się strasznym uśmiechem.

— Jeśli filarem jest Sapieha, — odrzekł, — to nim tak potrząsnę, że cała Rzeczpospolita na łeb mu runie.

Rozmowa była prowadzona po niemiecku, więc wszyscy cudzoziemscy oficerowie-jurgieltnicy zrozumieli ją doskonale i odpowiedzieli chórem:

— Amen!

Nazajutrz pochód z księciem na czele wyruszył dodnia. Szlachta pruska, którą świetny dwór przywabiał, poczęła zaraz wynosić się do domów.

Za nimi ruszyli do Tylży ci, którzy w Taurogach szukali przed groźbami wojny schronienia, a którym Tylża wydała się teraz bezpieczniejszą. Zostali tylko miecznik, panna Kulwiecówna i Oleńka, nie licząc Ketlinga i starego oficera Brauna, który nad szczupłein prezydjum miał komendę.

Miecznik, po owem uderzeniu obuszkiem, leżał dni kilkanaście, krew od czasu do czasu

[1] żona siłacza biblijnego, Samsona, który postradał swą siłę po obcięciu włosów.

ustami oddając, że jednak żadna kość nie była złamana, począł zwolna przychodzić do siebie i o ucieczce zamyślać.

Tymczasem nadjechał ciwun [1] z Billewicz, z listem od samego Bogusława. Miecznik nie chciał z początku pisma czytać, lecz wkrótce namyślił się inaczej, idąc w tern za radą panienki, która była zdania, że lepiej znać wszystkie zamiary nieprzyjaciela.

„Mnie wielce miłościwy panie Billewicz! „Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur!“ [2] Fata to sprawiły, iżeśmy się nie rozstali tak zgodnie, jakby sobie moje afekta dla WPana i jego wdzięcznej synowicy życzyć mogły, w czem dalibóg nie moja wina, gdyż to WPan wiesz najlepiej, iżeście mnie za moje szczere intencje niewdzięcznością nakarmili. Co się zaś w gniewie czyni, tego wedle amicycji w rachubę brać nie trzeba, tuszę przeto, że popędliwe me uczynki zechcesz WPan krzywdą, której od was doznałem, zgoła wyekskuzować. Ja wam też z serca odpuszczam, jako mi chrześcijańska miłość nakazuje, i do zgody powrócić pragnę. Żeby zaś WPanu dać rękojmię, że urazy w sercu nie zostało, nie osądziłem za rzecz godną odmawiać WPanu tej przysługi, której ode mnie żądałeś, i pieniądze WMPanowe przyjmuję... “

---

[1] ekonom. [2] „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje“.

Tu miecznik przestał czytać, uderzył kułakiem w stół i zakrzyknął:

— Pierwej mnie na marach zobaczy, niż szeląg z mojej szkatuły!...

— Czytaj ojciec dalej — rzekła Oleńka.

Miecznik podniósł znów pismo do oczu.

„...Której gotowizny dobywaniem nie chcąc WPana trudzić i zdrowia jego w dzisiejszych burzliwych czasach na szwank wystawiać, kazałem sam ją wydobyć i obliczyć...“

W tern miejscu zabrakło panu miecznikowi głosu i list wypadł mu z rąk na podłogę; przez chwilę zdawało się, że mowa została szlachcicowi odjętą, bo palcami tylko chwycił się za czuprynę i targał ją z całej siły:

— Bij, kto w Boga wierzy! — zakrzyknął wreszcie.

Na to Oleńka:

— Jedha krzywda więcej, kara Boska bliżej, bo miara wkrótce się dopełni...

ROZDZIAŁ V.

Rozpacz miecznika była tak wielka, że panna musiała go pocieszać i zapewniać, że tych pieniędzy za przepadłe uważać nie trzeba, bo przecie sam list ów za skrypt starczy, a Radziwiłła, pana tylu dóbr na Litwie i Rusi, jest na czem poszukiwać.

Natomiast, że trudno było przewidzieć, co

ich oboje spotkać jeszcze może, zwłaszcza gdyby Bogusław powrócił zwycięsko do Taurogów, poczęli tem gorliwiej myśleć o ucieczce.

Oleńka radziła ją wszelako odłożyć, dopókiby Hassling-Ketling nie wyzdrowiał, bo Braun był to posępny i nieużyty żołdak, pilnujący ślepo rozkazów, i niepodobna było go przejednać.

Co do Ketlinga, wiedziała doskonale panienka, że dlatego się zranił, aby przy niej pozostać, zatem wierzyła głęboko, że wszystko dla niej uczynić gotów. Sumienie niepokoiło ją wprawdzie bezustanku pytaniami, czy ma prawo dla własnego ocalenia poświęcać cudzy los, a może i życie, — lecz groźby, które nad nią wisiały w Taurogach, były tak straszne, że stokroć przewyższały niebezpieczeństwa, na jakie Ketling, z powodu opuszczenia służby, mógł być narażony. Bo przecie Ketling, jako wyborny oficer, wszędy mógł znaleźć służbę, i to szlachetniejszą, a z nią razem i potężnych protektorów, jako król, jako pan Sapieha lub pan Czarniecki. I będzie przytem służył dobrej sprawie i znajdzie pole wywdzięczenia się temu krajowi, który go, wygnańca, przygarnął. Śmierć grozi mu tylko w takim razie, gdyby wpadł w ręce Bogusława, ale przecie Bogusław nie włada jeszcze w całej Rzeczypospolitej.

Panna przestała się wahać, i gdy zdrowie młodego oficera polepszyło się już tak znacz-

nie, że mógł służbę odbywać, wezwała go do siebie.

Ketling stanął przed nią blady, wynędzniały, bez kropli krwi w twarzy, ale pełen zawsze czci, uwielbienia i pokory.

Na jego widok łzy zakręciły się w oczach Oleńce, bo przecie była to jedyna życzliwa dusza w Taurogach, a taka przytem biedna i cierpiąca, że gdy Oleńka na powitanie spytała go o zdrowie, młody oficer odrzekł:

— Niestety, pani, wraca, a takby mi było dobrze umrzeć...

— Waćpanu trzeba porzucić tę służbę, — odrzekła, patrząc nań ze współczuciem dziewczyna, — bo tak zacnemu sercu trzeba pewności, że zacnej sprawie, zacnemu panu służy.

— Niestety! — powtórzył oficer.

— Kiedy kończy się służba waćpana?

— Za pół roku dopiero.

Oleńka pomilczała chwilę, poczem podniosła na niego swe cudne oczy, które w tej chwili przestały być surowe, i rzekła:

— Słuchaj mnie, panie kawalerze. Będę mówiła jako do brata, jako do serdecznego konfidenta: waćpan możesz i powinieneś się uwolnić.

To rzekłszy, wyznała mu wszystko — i zamiar ucieczki, i to, że na jego pomoc rachuje. Poczęła mu przedstawiać, że służbę wszędy może znaleźć, a piękną, jako jego dusza jest piękną, a zaszczytną, jak honor rycerski wy-

magać może; wreszcie takiemi skończyła słowy:

— Ja waćpanu do śmierci będę wdzięczną. Pod Bożą opiekę chcę się schronić i Bogu w zakonie ślubować, ale gdziekolwiek będziesz, daleko czy blisko, na wojnie, w pokoju, będę się za waćpana modliła, będę prosiła Boga, by bratu mojemu i dobroczyńcy dał spokój i szczęście, gdy ja, prócz wdzięczności i modlitwy nic mu więcej dać nie mogę...

Tu głos jej zadrżał, a . oficer słuchał jej słów bledniejąc jak chusta, nakoniec klęknął, obie dłonie przyłożył do czoła i głosem do jęku podobnym odrzekł:

— Nie mogę, pani! nie mogę!...

— Waćpan mi odmawiasz? — spytała ze zdumieniem Billewiczówna.

A on, zamiast odpowiedzieć, modlić się począł.

— Boże wielki i miłosierny! — mówił. — Od dziecinnych lat nigdy fałsz nie postał na wargach moich, nigdy nie splamił mnie krzywy uczynek. Wyrostkiem będąc, broniłem tą słabą ręką króla mojego i ojczyzny; zacóż, Panie, karzesz mnie tak często i zsyłasz mękę, do której, sam widzisz, sił mi brakuje!

Tu zwrócił się do Oleńki:

— Pani, ty nie wiesz, co to jest rozkaz dla żołnierza, że w posłuchu nietylko jego obowiązek, ale jego cześć i honor. Mnie, pani, wiąże przysięga, i więcej niż przysięga, bo

słowo rycerskie, że służby przed terminem nie porzucę, i co do niej należy, ślepo spełnię. Jam żołnierz i szlachcic i tak mi dopomóż Bóg, jako nigdy w życiu nie pójdę śladem takich jurgieltników, którzy honor i służbę zdradzają. A nawet na rozkaz, nawet na prośbę twoją, pani, słowa nie złamię, choć w męce to mówię i bólu. Gdybym, mając rozkaz nie puszczać nikogo z Taurogów, stał na straży przy bramie, i gdybyś wówczas ty sama, pani, przejść ją, wbrew rozkazowi chciała, tedy przeszłabyś, ale po moim trupie. Tyś mnie, pani, nie znała, i zawiodłaś się na mnie... Ale zlituj się, zrozumiej, że ja ci do ucieczki pomagać nie mogę i słuchać nawet o niej nie powinienem, gdyż rozkaz jest wyraźny, gdyż odebrał go Braun i nas pięciu pozostałych tu oficerów. Boże, Boże! gdybym był przewidział taki rozkaz, wolejbym poszedł na tę wyprawę... Ja panią nie przekonam, nie uwierzysz mi, a jednak Bóg widzi, Bóg niech tak mnie sądzi po śmierci, jako prawda, że życie dałbym ci bez wahania, — honoru nie mogę, nie mogę!

To rzekłszy, Ketling załamał ręce i umilkł, wyczerpany zupełnie, jeno począł oddychać szybko.

Oleńka nie ochłonęła jeszcze ze zdumienia. Nie miała czasu ni zastanowić się, ni ocenić jak należy tej duszy wyjątkowej w swej szlachetności, czuła tylko, że usuwa się jej z rąk

ostatnia deska ratunku, zawodzi ją jedyny sposób wydostania się z nienawistnej niewoli.

Lecz próbowała jeszcze opierać się.

— Panie — rzekła po chwili. — Jestem wnuczką i córką żołnierza; dziad i ojciec mój również honor nad życie cenili, ale właśnie dlatego nie do wszystkich posług daliby się byli ślepo używać...

Ketling wydobył drżącą ręką pismo z kalety, podał je Oleńce i rzekł:

— Sądź pani, czy rozkaz służby nie tyczy?

Oleńka rzuciła okiem na papier i przeczytała co następuje:

„Ponieważ doszło do naszej wiadomości, że urodzony Billewicz, miecznik rosieński, zamierza opuścić skrycie rezydencję naszą w zamiarach nam nieprzyjaznych: mianowicie, aby znajomych, koligatów, krewnych i klientów swoich ad rebellionem [1] przeciw jego szwedzkiemu majestatowi i nam excitare, przeto polecamy oficerom, na praesidium w Taurogach zostającym, urodzonego Billewicza wraz z synowicą jako zakładników i jeńców wojennych strzec i ucieczki ich nie dopuścić, pod utratą honoru i gub poena[2] sądu wojennego...“ etc.

—• Rozkaz przyszedł z pierwszego postoju, po wyjeździe księcia, — rzekł Ketling, — dlatego jest na piśmie.

---

[1] do buntu. [2] pod karą.

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła po chwili milczenia Oleńka. —- Stało się!

Ketling czuł, że wypada mu już odejść, i nie ruszał się z miejsca. Blade jego wargi poruszały się od czasu do czasu, jakgdyby chciał coś mówić i nie mógł głosu wydobyć.

Dławiło go pragnienie, by paść jej do nóg i żebrać przebaczenia, lecz, z drugiej strony, czuł, że ona dosyć ma własnego nieszczęścia, i znajdował jakowąś dziką rozkosz w tern, że i on cierpi i że będzie cierpiał bez skargi.

Nakoniec skłonił się i wyszedł w milczeniu, ale zaraz w korytarzu pozrywał bandaże, które miał na świeżej ranie, i ipadł zemdlony, a gdy po upływie godziny straż pałacowa znalazła go leżącego blisko schodów i odniosła do cekhauzu, rozchorował się ciężko i przez dwa tygodnie nie mógł opuścić łoża.

Oleńka po odejściu Ketlinga pozostała czas jakiś jakby odurzona. Spodziewała się prędzej śmierci, aniżeli jego odmowy, dlatego w pierwszej chwili, pomimo całego hartu duszy, zbrakło jej sił, energji, uczuła się słabą, jak zwykła niewiasta, a chociaż nieświadomie powtarzała: „Dziej się wola Boża!“ — przecie żal zawodu wziął górę nad rezygnacją i łzy obfite a gorzkie puściły się jej z oczu.

W tej chwili nadszedł miecznik, a spojrzawszy na synowicę, odgadł zaraz, że mu niepomyślną wieść ma zwiastować, więc spytał żywo:

— Dla Boga! co tam znowu?

— Ketling odmawia — odrzekła dziewczyna.

— Wszystko to łotry, szelmy i arcypsy! Jakto? i ten nie chce pomóc?

— Nietylko nie chce on pomóc, — odrzekła, skarżąc się jak małe dziecko, — ale powiada jeszcze, że przeszkodzi, choćby też i polec mu przyszło.

— Czemu! na rany Pańskie! czemu?

— Bo taka już nasza dola! Ketling nie zdrajca, ale taka już nasza dola, bośmy najnieszczęśliwsi ze wszystkich ludzi!

— Bodaj tych wszystkich heretyków pioruny zatrzasły! — krzyknął miecznik. — Na cnotę nastają, łupią, kradną, więżą... Bodaj wszystko już przepadło! Nie żyć uczciwym ludziom w takich czasach!

Tu począł chodzić śpiesznym krokiem po komnacie i pięściami wygrażać, nakoniec ozwał się, zgrzytnąwszy zębami:

— Wołałem wojewodę wileńskiego, wolę tysiąc razy nawet Kmicica, niż tych uperfumowanych szelmów bez czci i sumienia!

A gdy Oleńka nie odrzekła nic, tylko jeszcze mocniej płakać zaczęła, pan miecznik złagodniał i po chwili tak mówić począł:

— Nie płacz. Kmicic mi do głowy przyszedł jeno dlatego, że tenby nas przynajmniej wyrwać z tej babilońskiej niewoli potrafił. Dałby ci on wszystkim Braunom, Ketlingom,

Patersonom i samemu Bogusławowi! Ale zresztą wszyscy zdrajcy jednacy! Nie płacz! Płakaniem nic nie wskórasz, a tu radzić trzeba. Nie chce Ketling pomagać — żeby go skrzywiło! — to się bez niego obejdziem... Męski niby animusz w tobie, a w ciężkim terminie jeno szlochać umiesz... Co powiada Ketling?

— Powiada, że książę kazał nas jako jeńców wojennych strzec, bojąc się, żebyś stryjko partji nie zebrał i do konfederatów nie poszedł.

Pan miecznik wziął się w boki:

— A! a! boi się szelma!... I ma słuszność, bo tak uczynię, jak Bóg w niebie!

— Mając zaś rozkaz, który służby tyczy, Ketling pod czcią musi go spełnić.

— Dobrze!... Obejdziem się bez heretyckiej pomocy!

Oleńka otarła oczy.

— I stryjko myślisz, że będzie można?

— Myślę, że trzeba, — a jak trzeba, to i można, choćbyśmy mieli po powrozach spuszczać się z tych okien.

A panienka zaraz na to:

— Moja wina, żem płakała... Radźmy jak najprędzej!

Łzy jej całkiem oschły i brwi ściągnęły się znowu od myślenia, z dawną stanowczością i energją.

Jakoż pokazało się, że miecznik nie umie rady znaleźć i że imaginacja panny o wiele

w sposoby obfitsza. Lecz ciężko i jej szło, bo to było jasne, że icb tani muszą strzec pilnie.

Postanowili tedy nie prędzej próbować, aż pierwsze wieści od Bogusława przyjdą do Taurogów. W tern całą złożyli nadzieję, spodziewając się kary Boskiej na zdrajcę ojczyzny i bezczestnego człeka. Mógł on przecie polec, mógł obłożnie zachorzeć, mógł być pobity przez Sapiehę, a wówczas niezawodnie powstałby w całycli Taurogacli popłoch i nie takby już bacznie bram strzeżono.

— Znam ja pana Sapiehę, — mówił, pokrzepiając siebie i Oleńkę, miecznik, — wojennik to powolny, ale akuratny, i dziw jak zawzięty. Exemplum jego dla majestatu i ojczyzny wierność. Zastawił się, wyprzedał, a taki potęgę zebrał, przy której Bogusławowa jedno nic. Tamto poważny senator, to fircyk, tamto prawy katolik, to heretyk, tamto sama roztropność, to paliwoda! Przy kim może być wiktorja i błogosławieństwo Boże? Ustąpi ta radziwiłłowska noc przed sapieżyńskim dniem, ustąpi! Chybaby kary i sprawiedliwości na tym świecie nie było!... Czekajmy jeno wieści i módlmy się za powodzenie pana sapieżyńskiego oręża.

Poczęli tedy wyczekiwać, ale przeszedł miesiąc, długi, ciężki dla strapionych serc, nim pierwszy goniec przybył, a i to wysłany nie do Taurogów, ale do Steinboka, do Prus Królewskich.

Ketling, który o<l czasu ostatniej rozmowy nie śmiał stanąć przed oczyma Oleńki, przysłał jej zaraz kartkę z następującą wiadomością :

„.Książę Bogusław zniósł pana Krzysztofa Sapiehę koło Brańska; kilka chorągwi jazdy i piechoty w pień wyciętych. Idzie na Tykocin, pod którym stoi Horotkiewicz“.

Dla Oleńki był to poprostu grom. Wielkość wodza i dzielność rycerska znaczyły dla jej dziewczęcego umysłu jedno i to samo, że zaś widziała Bogusława w Taurogach pokonywającego z łatwością najdzielniejszych rycerzy, przeto, zwłaszcza po owej wiadomości, wyobraziła go sobie jako złą, ale niezwyciężoną siłę, której nikt nie sprosta.

Nadzieja, aby Bogusław mógł być pokonany, zgasła w niej zupełnie. Próżno miecznik uspokajał ją i pocieszał tern, że młody książę nie zmierzył się jeszcze ze starym panem Sapiehą, próżno jej zaręczał, że sama godność hetmańska, którą król świeżo pana Sapiehę przyozdobił, musi dać temu ostatniemu stanowczą nad Bogusławem przewagę, — nie wierzyła, nie śmiała wierzyć.

— Kto jego zwycięży? kto mu sprosta?...— odpowiadała ustawicznie.

Dalsze wieści zdawały się potwierdzać jej obawy.

W kilka dni później Ketling znów nadesłał kartkę z doniesieniem o rozbiciu Horotkiewi-

cza i wzięciu Tykocina. „Całe Podlasie — (pisał) — jest już w ręku księcia, który uie czekając na pana Sapiehę, sani wielkiemi pochodami ciągnie na niego“.

— I pan Sapieha zniesion będzie? — pomyślała dziewczyna.

Tymczasem nadleciała, niby jaskółka, zwiastunka wiosny, wieść z innych stron. Na te przymorskie brzegi Rzeczypospolitej przyleciała ona późno, ale zato ubrana we wszystkie tęczowe blaski cudownej legendy z pierwszych wieków chrześcijaństwa, gdy jeszcze święci chodzili po świecie, świadcząc prawdzie i sprawiedliwości.

— Częstochowa! Częstochowa! — powtarzały wszystkie usta.

Z serc lód odtajał i zakwitnęły jako kwiaty w przygrzanej wiosennem słońcem ziemi. — Częstochowa się obroniła, widziano Ją samą, Królowę polską, okrywającą mury płaszczem niebieskim; granaty zabójcze przypadały pod Jej święte stopy, łasząc się jako psy domowe; Szwedom schły ręce, muszkiety przyrastały do twarzy, aż odstąpili ze wstydem i strachem.

Ludzie sobie obcy, gdy usłyszeli tę wieść, padali sobie w objęcia, płacząc z radości. Inni narzekali, że przyszła tak późno.

— A my tu w płaczu, — mówili, — a my w bólu, my w męce tyle czasu żyli, gdy nam już weselić się było trzeba!...

Zaczem poczęło huczeć w całej Rzeczypo-

spolitej i roztaczały się te groźne grzmoty od Pontu Euksynu [1] do Bałtyku, aż fale obu mórz drżały; to lud wierny, lud zbożny powstawał jak burza w obronie swej Królowej. We wszystkie serca wstąpiła otucha, wszystkie źrenice zapałały ogniem; to, co się wydawało przedtem strasznem i niezwalczonem, zmalało w oczach.

— Kto go pokona? — mówił do dziewczyny pan miecznik — kto mu sprosta? Teraz wiesz kto? Panna Najświętsza!

Oboje z Oleńką krzyżem po całych dniach leżeli, dziękując Bogu za miłosierdzie nad Rzecząpospolitą; zarazem przestali wątpić i o własnem ocaleniu.

0 Bogusławie zaś ucichło przez długi czas zupełnie, jakby on sam wraz z całą swą siłą w wodę wpadł. Oficerowie pozostali w Taurogach poczęli się niepokoić i przyszłość swą niepewną oglądać. Woleliby wieść o klęsce, niż tę głuchą ciszę. Ale żadna wieść nie mogła nadejść, bo właśnie to wówczas straszliwy Babinicz wysforował się z Tatary przed księcia i wszystkich gońców przejmował.

ROZDZIAŁ VI.

Pewnego jednak dnia przybyła do Taurogów z konwojem kilkudziesięciu żołnierzy panna Anna Borzobohata-Krasieńska.

---

[1] Morza Czarnego.

Braun przyjął ją bardzo uprzejmie, bo rnusiał, gdyż mu tak nakazywał list Sakowicza, przez samego Bogusława podpisany, a polecający wszelkie dla respektowej panienki księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej mieć względy. Panienka też była pełna fantazji; od pierwszej cliwili przyjazdu poczęłii w Braunie świdrować oczkami, aż posępny Niemiec rozruszał się, jakoby go kto ogniem przypiekł; poczęła także komenderować innymi oficerami, —- słowem, rozporządzać się w Taurogach jak we własnym domu. Tego samego dnia wieczorem poznała się z Oleńką, którii patrzyła wprawdzie na nią z nieufnością, lecz przyjmowała ją grzecznie, w nadziei, iż nowin od niej zaczerpie.

Jakoż Anusia miała ich podostatkiem. Rozmowa poczęła się od Częstochowy, bo -tych wieści najchciwsi byli taurogscy jeńcy. Miecznik szczególnie pilnie osłaniał uszy rękoma, by żadnego słowa nie uronić, przerywając tylko od czasu do czasu opowiadanie Anusi okrzykami:

— Chwała na wysokości Panu!

— Dziwno mi to, — rzekła wreszcie przyjezdna panienka, — że waćpaństwa dopiero niedawno wiadomość o tych cudach Najświętszej Panienki doszła, bo to już dawna historja, i ja byłam jeszcze wtedy w Zamościu i pan Babinicz jeszcze po mnie nie przyjechał, — hej! na ileż to tygodni było przed-

tern... Potem już zaczęli Szwedów wszędy bić, i w Wielkopolsce, i u nas, a najgorzej pan Czarniecki, przed którego imieniem samem uciekają.

— A! pan Czarniecki! — krzyknął, zacierając ręce, miecznik — ten im da pieprzu! Słyszałem jeszcze o nim z Ukrainy, jako o wielkim żołnierzu.

Anusia tylko rączkami strzepnęła sukienkę, i tak sobie, jakby o najmniejszą rzecz szło, zawołała z niechcenia:

— Oho! już po Szwedach!

Stary zaś pan Tomasz nie mógł wytrzymać, więc porwawszy ją za rączkę, całkiem pogrążył oną malutką w swych ogromnych wąsaci) i począł całować zawzięcie, wreszcie zakrzyknął :

— A moje śliczności! Patoka płynie z ust waópanny, jak mi Bóg miły!... Nie może inaczej być, jeno anioł przyjechał do Taurogów!

Anusia zaraz poczęła kręcić palcami kończyki warkoczyków, obwiązane różowemi wstążeczkami, i strzygąc z pod czoła oczyma, odrzekła:

— Ej, daleko mnie do aniołów! Ale już i hetmani koronni poczęli Szwedów bić, i wszystkie wojsko kwarciane z nimi, i wszystkie rycerstwo, — i uczynili konfederację w Tyszowcach i król do niej przystąpił i wydali uniwersały i nawet chłopstwo Szwedów bije... i Najświętsza Panienka błogosławi...

Tak zaś mówiła, jakoby ptak szczebiotał, ale od tego szczebiotania w mieczniku serce zmiękło zupełnie, więc clioć niektóre z tycb nowin były już mu wiadome, ryknął wreszcie z radości jak żubr; po twarzy Oleńki poczęły także płynąć łzy ciche, a duże.

Widząc to Anusia, a mając od natury serce dobre, skoczyła zaraz ku niej, a objąwszy ją rękoma za szyję, poczęła mówić szybko:

— Nie płacz waćpanna... mnie waćpanny żal i nie mogę na to patrzyć... Czego płączesz?...

Tyle było szczerości w jej głosie, że nieufność Oleńki znikła zaraz, ale zato rozpłakała się biedna dziewczyna jeszcze serdeczniej.

— Waćpanna taka śliczna... — pocieszała ją Anusia — czego płączesz?

— Od radości, — odrzekła na to Oleńka, — ale i ze strapienia, bo my tu w ciężkiej niewoli jesteśmy, dnia niepewni, ani godziny...

— Jakże to? U księcia Bogusława?

— U tego zdrajcy! u tego heretyka! — huknął pan miecznik.

Na to Anusia:

— To samo i mnie się przygodziło, a dlatego nie płaczę. Nie neguję waćpanu dobrodziejowi, że książę zdrajca i heretyk, ale dworny kawaler i płeć naszą respektujący.

— Bodaj go tak samo w piekle respektowali! — odparł miecznik. — Panna go jeszcze nie znasz, bo na waćpannę tak nie nastawał,

jako na tę dziewczynę. Arcy to szelma jest, a ów Sakowicz drugi! Dałby Bąg, żeby pan hetman Sapieha obu pogrążył!

— Że pogrąży, to pogrąży... Książę Bogusław chory okrutnie i potęgę ma niewielką. Prawda, że nagle nastąpił i kilka chorągwi zniósł i Tykocin zagarnął i mnie, — ale nie jemu mierzyć się z pana sapieżyńską siłą. Możecie mi waćpaństwo wierzyć, bom obie potęgi widziała... Przy panu Sapieże najwięksi kawalerowie się znajdują, którzy sobie z księciem Bogusławem wnet poradzą.

— A widzisz! nie mówiłem ci? — rzekł miecznik, zwracając się do Oleńki.

— Księcia Bogusława znam zdawna, — mówiła dalej Anusia, — bo to obojga księstwa Wiśniowieckich i państwa Zamojskich powinowaty; przyjeżdżał on raz do nas do Łubniów', wtedy, kiedy sam książę Jeremi na Tatarów w Dzikie Pola chodził. Dlatego i teraz mnie szanować kazał, bo pamiętał, iżem tam domową była i księżnej pani najbliższą. Ot, taka, taka jeszcze byłam malutka! — nie to co dziś!... Mój Boże! ktoby się to wtedy spodział, że z niego zdrajca będzie. Ale nie frasujcie się i tak mili państwo, bo albo on już nie wróci, albo też my się jako stąd wydostaniemy.

— Już my tego próbowali — odrzekła Oleńka.

— I nie udało się wam?

— Jak się miało udać?—rzekł miecznik.— Spuściliśmy się ze sekretu przed jednym oficyjerem, o którym rozumieliśmy, że nam sprzyja, a pokazało się, że on gotów przeszkodzić, nie pomóc. Najstarszy nad nimi jest tu Braun, tego zaś i sam djabeł nie przejedna.

Anusia spuściła oczki.

— Możeby mnie się udało. Trzeba tylko, żeby pan Sapieha tu przyszedł, aby było się do kogo schronić.

— Daj go Boże jak najprędzej, — odpowiedział pan Tomasz, — bo też i między jego ludźmi siła mamy krewnych, znajomych i przyjaciół... Ba! tamże przecie są i dawni towarzysze z pod wielkiego Jeremiego, panowie Wołodyjowski, Skrzetuski i Zagłoba.

— Znam ich, — odrzekła ze zdziwieniem Anusia, — ale ich u pana Sapiehy niemasz. Ej, żeby to byli! a zwłaszcza pan Wołodyjowski (bo pan Skrzetuski żonaty), toby mnie tu nie było, gdyż pan Wołodyjowski nie dałby się ogarnąć, jako pan Kotczyc.

— Wielki to kawaler! — zawołał miecznik.

— Chluba całego wojska! — dodała Oleńka.

— Dla Boga! czy tylko nie polegli, żeś ich waópanna nie widziała?

— Ej, nie! — odrzekła Anusia — przecieby głośno było o śmierci takich rycerzy, a nie mówiono mi nic... Waćpaństwo ich nie znacie... Nie dadzą się oni nigdy — chyba kula może ich zabić, bo żaden człowiek im nie

poradzi, ani panu Skrzetuskiemu, ani panu Zagłobie, ani panu Michałowi. Chociaż pan Michał mały, ale pamiętam, co książę Jeremi o nim powiadał, że gdyby los całej Rzeczypospolitej zawisł od bitwy jednego z jednym, toby pana Michała do niej wybrał. On-że Boliuna usiekł... O nie! pan Michał zawsze sobie da rady.

Miecznik kontent, że ma z kim gawędzić, począł chodzić szerokiemi krokami po komnacie, zapytując:

— Proszę, proszę! To waćpanna znasz tak dobrze pana Wołodyjowskiego?

— Bośmy tyle lat razem byli...

— Proszę!... To pewno się i bez afektów nie obeszło?

— Ja temu nie winna, — rzekła Anusia, przybierając skromną postawę, — ale do tej pory pewnie i pan Michał się ożenił.

— A właśnie, że się nie ożenił.

— Choćby się i ożenił — toż mi wszystko jedno!...

— Daj wam Boże, abyście się zeszli... Ale to mnie martwi, co mi waćpanna mówisz, że ich u pana hetmana niemasz, bo z takimi żołnierzami wiktorje łatwiejsze.

— Jest tam ktoś, co za nich wszystkich stanie.

— Któż to taki?

— Pan Babinicz z Witebskiego... Waćpaństwo o nim nie słyszeli?

— Nic, co mi i dziwno.

Anusia poczęła opowiadać historję swego wyjazdu >z Zamościa i wszystko, co się jej w drodze przygodziło. Pan Babinicz zaś wyrósł w jej opowiadaniu na tak wielkiego bohatera, że miecznik w głowę zachodził, ktoby to był taki.

— Toż ja znam całą Litwę — mówił. — Są tu wprawdzie domy podobnie się nazywające, jak: Babonaubków, Babiłłów, Babinowskich, Babińskich i Babskich, ale o Babiniczach nie słyszałem... i mniemam, że to musi być nazwisko przybrane, bo tak wielu czyni z tych, którzy są w partjacli, ażeby zaś nieprzyjaciel nie mścił się na substancji i rodzinach. Hm! Babinicz!... Ognisty to jakiś kawaler, skoro i pana Zamojskiego umiał tak splantować.

— Oj! jak ognisty! ach! — zawołała Anusia.

Miecznik wpadł w dobry humor.

— Także to? — spytał, stając przed Anusią i biorąc się w boki.

— Bo waćpan dobrodziej może sobie zaraz Bóg wie co suponujesz?

—- Boże uchowaj, nic nie suponuję!

— A pan Babinicz, ledwośmy z Zamościa wyjechali, zaraz mi powiedział, że jego serce kto inny w dzierżawie trzyma... i chociaż mu tenuty nie płaci, przecie dzierżawcy zmieniać nie myśli...

— I waćpanna temu wierzysz?

— Jużci że wierzę, — odparła z wielką żywością Anusia, — musi on być po uszy zakochany, skoro przez tyle czasu... skoro... skoro...

— Oj! jakoś nieskoro! — odrzekł, śmiejąc się, pan miecznik.

— A ja mówię, że skoro, — odrzekła, tupiąc nóżką, — bo skoro o nim usłyszymy...

— Daj to Bóg!

— I powiem waćpanu, dlaczego... Oto, ile razy pan Babinicz o księciu Bogusławie wspomniał, to aż mu twarz bielała, a zębami tak skrzypiał, jak drzwiami.

— To już będzie nasz przyjaciel!... — odrzekł pan miecznik.

— Pewnie!... I do niego uciekniemy, byle się pokazał!

— Byłem się stąd wyrwał, będę miał własną partję, i waćpanna zobaczysz, że mi także wojna nie pierwszyzna i że ta stara ręka jeszcze się na coś przyda.

— To idź waćpan pod komendę pana Babinicza.

— Waćpanna masz większą ochotę iść pod tę komendę...

Długo jeszcze przekomarzali się w ten sposób i coraz weselej, tak, że i Oleńka, zapomniawszy o swych zgryzotach, rozweseliła się znacznie, a Anusia poczęła wkońcu parskać na miecznika, jak kotka. Że zaś była wypoczęta, bo na ostatnim noclegu w niedalekich Rosie-

niach wyspała się dobrze, odeszła więc dopiero późną nocą.

— Złoto nie dziewka! — rzekł po jej odejściu pan miecznik.

—■ Szczere jakoweś serce... i myślę, że prędko przyjdziemy do konfidencji — odpowiedziała mu Oleńka.

— A postawiłaś jej oto w początku kozła na czole?

— Bom mniemała, że to ktoś nasłany. Czy ja wiem wreszcie? Wszystkiego się tu boję!

—■ Ona nasłana?... chyba przez dobre duchy!... A wykrętne to licho, jak łasica... Żebym tak był młodszy, nie wiem, do czegoby przyszło, choć i tak człek jeszcze jary...[1]

Oleńka rozweseliła się zupełnie, i wsparłszy rączki na kolanach, przekręciła nabok główkę, naśladując Anusię i patrząc zukosa na miecznika.

— Tak to, stryj aszku?! Stryjnę mi chcecie z tej mąki wypiec?

•— No, cicho! no! — odrzekł miecznik.

Ale uśmiechnął się i począł całą garścią wąsa w górę podkręcać.

Po chwili zaś dodał:

—- Przecie i takową sensatkę, jak ty, rozruszała. Pewien jestem, że się okrutna amicycja między wami pocznie.

Jakoż nie mylił się pan Tomasz, bo w nie-

[1] krzepki.

długim czasie zawiązała się przyjaźń między dziewczętami bardzo żywa, i rosła coraz bardziej, może dlatego właśnie, że obie stanowiły zupełne względem siebie przeciwieństwo. Jedna miała powagę w duszy, głębokość uczuć, niezłomną wolę i rozum; druga, przy dobrem sercu-i czystości myśli, była dzierlatką. Jedna ze swej cichej twarzy, jasnych warkoczów, z niewysłowionego spokoju i uroku wysmukłej postawy, do starożytnej Psyche [1] była podobną: druga, istna czarnuszka, przypominała raczej chochlę [2], która nocami na wertepy ludzi wyprowadza i z frasunku ich się śmieje. Oficerów pozostałych w Taurogach, którzy na obie codzień patrzyli, brała ochota całować Billewiczówny nogi, Anusi usta.

Ketling, mający duszę szkockiego ' górala, zatem melancholji pełną, czcił i ubóstwiał Oleńkę, a od pierwszego wejrzenia począł nieznosić Anusi, która zresztą wypłacała mu się wzajemnością, wetując poniesione straty na Braunie i wszystkich pozostałych, nie wyłączając samego pana miecznika rosieńskiego.

Oleńka w krótkim czasie uzyskała wielką przewagę nad swą przyjaciółką, która z całą szczerością serca mawiała do pana Tomasza:

— Ona w dwóch słowach więcej powie, niż ja przez cały dzień wytrajkoczę.

Z jednej wszelako przywary nie mogła po-

---

[1] uosobienie duszy ludzkiej. [2] złośliwego, psotnego ducha.

ważna panna wyleczyć swej pustej przyjaciółki, mianowicie z zalotności. Bo niech jeno Anusia usłyszy brzęk ostróg na korytarzu, wnet udaje, że czegoś zapomniała, że chce obaczyć, czyli nowiny o panu Sapieże nie przybyły, wpada na korytarz, leci wichrem, i wpadłszy na oficera, wykrzykuje:

— Ach! jak mnie pan przestraszył!

Poczem wszczyna się rozmowa, przeplatana kręceniem fartuszka, spoglądaniem z pod czoła i rozmaitemi innemi minkami, zapomocą których najtwardsze serce męskie snadnie pogrążone być może.

I tern bardziej brała jej za złe Oleńka owo bałamuctwo, że Anusia po kilka dniach znajomości przyznała się jej do cichego afektu dla pana Babinicza. Nieraz ze sobą o tern rozmawiały.

— Inni jako dziady żebrali, —- mówiła zatem Anusia, — a ten smok wołał na swoich Tatarów niż na mnie poglądać, a zaś nie mówił inaczej, jak rozkazując: „Waćpanna wysiądź! waćpanna jedz! waćpanna pij!“ Żeby przytem był grubijan, — ale nie był; żeby nie był troskliwy, — ale był! W Krasnymstawie zaraz powiedziałem sobie: „Nie patrzysz na mnie — czekaj!...“ A to już w Łącznej mnie samą tak rozebrało, że strach. Tu powiem ci, żem mu w te siwe oczy jeno patrzała, a gdy się roześmiał, to już i mnie radość brała, jakobym owo niewolnicą jaką była...

Oleńka zwiesiła głowę, bo i jej siwe oczy przyszły na pamięć. I tamtenby tak samo mówił, i tamten komendę wiecznie miał na ustach, dzielność w obliczu, jeno sumienia nie miał, ni bojaźni Bożej.

A Anusia, idąc za własną myślą, mówiła dalej:

— Kiedy z buzdyganem na koniu po polach latał, to myślałam, że orzeł, albo hetman jaki. Tatarowie się go gorzej ognia bali. Gdzie przyjechał, posłuch rnusiał być, a jak się bitwa zdarzyła, to ognie na niego z ochoty na krew biły. Siła ja godnych kawalerów w Lubniach widziałam, ale takiego, żeby mnie strach przed nim brał, nigdym nie widziała.

— Jeżeli ci go Pan Bóg przeznaczył, to go dostaniesz, żeby zaś ciebie nie lubił, temu się wierzyć nie chce...

— Lubić, to on mnie lubił... troszeczkę, —- ale inną więcej. Sam mi nieraz mówił: „Szczęście to waćpanny, że ni zapomnieć, ni odkochać się nie mogę, bo inaczej lepiejby wilkowi kozę powierzyć, aniżeli mnie taką dziewczynę“.

— Cóżeś mu na to?

— Mówiłam mu tak: „Skądże waćpan wiesz, żebym mu była wzajemną?“ A on odpowiadał: „Jabym nie pytał!“ I rób tu co chcesz z takim!... Głupia tamta, która go nie pokochała, i samą zatwardziałość musi mieć w sercu. Pytałam go, jak jej imię, — nie

chciał powiedzieć. „Lepiej — mówił — tego nie tykać, bo to bolączka, a druga (powiada) bolączka, to Radziwiłły... zdrajcy!“ I zaraz tak straszną twarz czynił, że byłabym wołała do mysiej jamy się schować. Poprostu bałam się go!... Ale co tam! nie dla mnie on, nie dla mnie!

— Proś o niego świętego Mikołaja; wiem od ciotki, że najlepszy to w takich terminach protektor. Bacz jeno, byś gó nie obraziła, innych bałamucąc.

— Już nigdy nie będę, — jeno tyle! odrobinkę !

Tu Anusia pokazywała na palcu, ile sobie pozwoli, i małą sobie wyznaczała porcję, co najwięcej na pół paznokcia, by świętego Mikołaja nie obrazić.

— Ja nie przez pustą swawolę to czynię, — tłumaczyła się panu miecznikowi, który także począł jej bałamuctwo do serca brać, — ale muszę, bo jeżeli nam ci oficyjerowie nie pomogą, to się nigdy stąd nie wydostaniem.

— Ba! Braun nigdy nie dopuści.

— Braun pogrążon! [1] — odrzekła cienkim głosikiem i spuszczając oczy.

— A Fitz-Gregory ?

— Pogrążon! — odrzekła jeszcze cieniej.

— A Ottenhagen?

— Pogrążon!

[1] tu: zakochany.

— A von Irben?

— Pogrążon!

— Niechże waćpannę las ogarnie!... To widzę z jednym Ketlingiem tylko nie umiałaś sobie dać rady...

— Niecierpię go! — Ale kto inny da sobie z nim rady. Zresztą obejdzie się bez jego pozwolenia.

— I waćpanna myślisz, że jak zechcemy uciekać, to oni nie przeszkodzą?

— Pójdą z nami!... — odrzekła, wyciągając główkę i mrużąc oczy, Anusia.

— Dla Boga! to czemu tu siedzimy? Dziśbym chciał być daleko!

Ale z narady, która zaraz nastąpiła, wypadło, że należy czekać, póki się losy Bogusławowe nie rozstrzygną i póki pan podskarbi albo pan Sapieha nie zbliżą się w okolice Żmudzi. Inaczej groziła sroga zguba nawet od swoich. Towarzystwo cudzoziemskich oficerów nietylko nie stanowiłoby obrony, ale powiększało jeszcze niebezpieczeństwo, lud bowiem prosty tak strasznie był na cudzoziemców zawzięty, że każdego, kto polskich szat nie nosił, mordował bez miłosierdzia. Polscy bowiem dygnitarze, noszący obce suknie, nie mówiąc o dyplomatach austrjackich i francuskich, nie mogli podróżować inaczej, chyba pod osłoną potężnych oddziałów wojskowych.

— Waćpaństwo mi wierzcie, bom ja przejechała cały kraj — mówiła Anusia; —

w pierwszej lepszej wsi, w pierwszym lepszym lesie, grasanci wymordują nas, nim spytają, ktośmy tacy. Nie można inaczej uciekać, jeno do wojsk.

— Ba, będę miał własną partję.

— Nim ją waćpan zbierzesz, nim do znajomej wsi dojedziesz, szyję stracisz.

— Wieści o księciu Bogusławie powinny wkrótce nadejść.

— Panu Braunowi kazałam, by zaraz mi wszystko donosił.

Braun jednak przez długi czas nic jej nie donosił.

Ketling natomiast począł odwiedzać Oleńkę, bo pierwsza, spotkawszy go pewnego dnia, wyciągnęła doń rękę. Młody oficer źle wróżył z tej głuchej ciszy. Wedle niego, książę, ze względu na elektora i Szwedów, nie zamilczałby o najmniejszem powodzeniu i raczejby je przesadzał, niżeli milczeniem znaczenie rzeczywistych przewag osłabiał.

— Nie przypuszczam, żeby miał być już zniesiony zeszczętem, — mówił młody oficer, — ale pewnie znajduje się w ciężkiem położeniu, z którego wyjścia znaleźć trudno.

— Wszystkie wieści przychodzą tu tak późno, — odrzekła Oleńka, — a najlepszy dowód na Częstochowie, o której cudownej obronie dowiedzieliśmy się szczegółów dopiero od panny Borzobohatej.

— Ja, pani, wiedziałem już o tem dawniej, ale nie rozumiejąc, jako cudzoziemiec, waloru, który dla Polaków ma to miejsce, nawet nie wspominałem pani o tem. Bo że się w tak wielkiej wojnie jakowyś zameczek na czas obroni i kilka szturmów odeprze, to się zawsze zdarza i zwykle nie przywiązuje się do tego wagi.

— A przecie byłaby to dla mnie najmilsza nowina!

— Widzę istotnie, że źle uczyniłem, bo z tego, co, jak teraz słyszę, po owej obronie zaszło, miarkuję, że to rzecz ważna, która na całą wojnę wpłynąć może. Wszelako, wracając do podlaskiej księcia ekspedycji, to inna sprawa. Częstochowa daleko, Podlasie bliżej. A gdy księciu powodziło się początkowo, pamiętasz pani, jak prędko przychodziły nowiny... Wierzaj mi pani: jestem młodym człowiekiem, ale od czternastego roku życia żołnierzem, i doświadczenie mi mówi, że owa cisza źle wróży.

— Raczej dobrze — odrzekła panna.

Na to Ketling:

—• Niech będzie dobrze!... Za pół roku kończy się moja służba!... Za pół roku rozwiązuje się moja przysięga!...

W kilka dni po tej rozmowie nowiny nareszcie nadeszły.

Przywiózł je pan Bies herbu Kornia, zwany na dworze Bogusławowym Comutu-

sem i. Był to szlachcic polski, ale scudzoziemczały zupełnie, bo od pacholęcych niemal lat w wojskach zagranicznych służąc, prawie po polsku zapomniał, a przynajmniej mówił jak Niemiec. Duszę miał także scudzoziemczałą, dlatego wielce do osoby księcia był przywiązany. Jechał on z ważną misją do Królewca, w Taurogach zaś zatrzymał się tylko dla wypoczynku.

Braun z Ketlingiem przyprowadzili go zaraz do Oleńki i Anusi, które obecnie już mieszkały i sypiały razem.

Braun stanął frontem przed Anusią, poczem zwrócił się do pana Biesa i rzekł:

— To jest krewna pana Zamojskiego, starosty kałuskiego, zatem i księcia pana, dla której kazał wszelkie mieć atencje [2], a która życzy sobie nowiny z ust naocznego świadka posłyszeć.

Pan Bies zkolei wyprostował się jak po służbie i czekał pytania.

Anusia nie zaprzeczała pokrewieństwa z Bogusławem, bo bawiły ją hołdy wojskowych, więc skinęła ręką na pana Biesa, by usiadł, co gdy uczynił, spytała:

— Gdzie książę obecnie się znajduje?

—- Książę cofa się ku Sokółce, daj Boże szczęśliwie! — odrzekł oficer.

— Mów waćpan szczerą prawdę, jak mu idzie? [1]

---

[1] Rogatym. [2] względy, poważanie,

— Powiem szczerą prawdę — odrzekł oficer — i nic nie zataję, mniemając, że jej dostojność znajdziesz w duszy swej fundament do wysłuchania nowin mniej pomyślnych.

— Znajdę! — odrzekła Anusia, stukając pod suknią korkiem o korek z ukontentowania, że ją zwą jej dostojnością i że nowiny są „mniej pomyślne“.

— Z początku wszystko nam szło dohrze — mówił pan Bies. — Starliśmy po drodze kilka kup rebelizantów, rozbiliśmy pana Sapiehę i wycięliśmy dwie chorągwie jazdy oraz regiment piechoty dobrej, nikogo nie żywiąc... Zaczem znieśliśmy pana Horotkiewicza, iż sam ledwie uszedł, a inni powiadają, że zabit... Zaczem zajęliśmy ruiny tykocińskie...

— To już wszystko wiemy, powiadaj prędko waćpan niepomyślne nowiny! — przerwała nagle Anusia.

— Racz tylko pani wysłuchać ich spokojnie. Doszliśmy aż do Drohiczyna, i tam naraz odwinęła się karta... Mieliśmy wieść, że pan Sapieha jeszcze daleko; tymczasem dwa nasze podjazdy jakoby w ziemię wpadły. Nie wrócił ni świadek klęski. Wtem pokazało się, że jakieś wojska idą w przzodku przed nami. Wielka stąd powstała konfuzja. Książę pan począł myśleć, że wszystkie poprzednie relacje były fałszywe i że pan Sapieha nietylko nastąpił, ale i drogę przeciął. Poczęliśmy się tedy cofać, bo w ten sposób można było przydybać

nieprzyjaciela i do walnej bitwy, której koniecznie chciał książę, go zmusić... Ale nieprzyjaciel nie dawał pola, jeno ciągle napadał i napadał. Poszły znów podjazdy i wróciły poszarpane. Odtąd poczęło nam wszystko w ręku topnieć, nie mieliśmy spokoju we dnie, ni w nocy. Drogi nam psuto, groble przecinano, przejmowano wiwendę. Poczęły chodzić słuchy, że sam pan Czarniecki nas gnębi; żołnierz nie jadł, nie spał, duch upadł; w samym obozie ginęli ludzie, jakoby ich ziemia pożerała. W Białymstoku nieprzyjaciel zachwycił znów cały podjazd, kredensy i karoce książęce i działa. Nigdy nic podobnego nie widziałem. Nie widziano też tego w poprzednich wojnach. Książę wpadł w alterację. Chciał jednej walnej bitwy, a rnusiał staczać codzień po dziesięć mniejszych... i przegrywać. Ład rozprzęgał się. A cóż dopiero wyrazić zdoła naszą konfuzję i strach, gdyśmy się dowiedzieli, że sam pan Sapieha jeszcze nie nastąpił, i że to tylko potężny podjazd przedostał się przed nas i tyle niewypowiedzianych klęsk nam zadał... W podjeździe tym były wojska tatarskie...

Dalsze słowa oficera przerwał pisk Anusi, która, rzuciwszy się nagle Oleńce na szyję, zakrzyknęła:

— Pan Babinicz!

Oficer zdumiał się, usłyszawszy nazwisko, ąle sądził, że to przestrach i nienawiść wy-

rwały dostojnej pannie z piersi ten okrzyk, więc dopiero po chwili tak mówić począł:

— Komu Bóg dał wielkość, dał mu i siłę do zniesienia ciężkich terminów, więc racz się pani uspokoić! Tak istotnie zowie się ten piekielnik, który los całej wyprawy podkopał i nieobliczonych jeszcze szkód stał się przyczyną. Nazwisko jego, które jej dostojność z taką zdumiewającą bystrością odgadłaś, powtarzają teraz wszystkie usta z przerażeniem i wściekłością w naszym obozie...

— Tego pana Babinicza widziałam w Zamościu, — odrzekła prędko Anusia, — i gdybym była odgadła...

Tu umilkła, i nikt nie dowiedział się, coby w takim razie zaszło...

Oficer, po chwili milczenia, tak znowu mówić począł:

— Nastały odwilże i ciepła, wbrew, można rzec, przyrodzonemu natury porządkowi, bo mieliśmy wiadomość, iż na południu Rzeczypospolitej zima trzyma się jeszcze tęga, a my zasię brodziliśmy w roztopach wiosennych, które naszą ciężką jazdę do ziemi przykuły. On zaś, mając ludzi lekkich, tern bardziej dojeżdżał. Co krok roniliśmy wozy i działa, tak, że wkońcu komunikiem iść przyszło. Mieszkaniec okoliczny w ślepej zaciekłości swej jawnie sprzyjał napastnikom... Będzie co Bóg zdarzy, ale w desperackim stanie zostawiłem cały obóz i samego księcia pana, którego w do-

datku febra złośliwa nie opuszcza i po całych dniach sił pozbawia. Bitwa jeneralna wszakże nastąpi wkrótce, ale jak się to obróci, Bóg wie... i pokieruje... Cudów należy się spodziewać.

—• Gdzieś waćpan zostawił księcia?

—■ Na dzień drogi od Sokółki; książę ma zamiar okopać się w Suchowoli lub tamtejszym Janowie i bitwę przyjąć. Pan Sapieha jest o dwa dni drogi. Gdym wyjeżdżał, mieliśmy trochę wolniejszego oddechu, bo od schwytanego języka dowiedzieliśmy się, że sam Babinicz odjechał do głównego obozu, bez niego zaś Tatarowie nie śmieją tak następować, kontentując się szarpaniem podjazdów. Książę, który jest wódz niezrównany, wszystkie nadzieje na walnej bitwie gruntuje, ale to gdy zdrów, — a gdy go febra chwyci, musi inaczej myśleć, czego najlepszy dowód w tern, iż mnie wysłał do Prus.

— Poco tam waćpan jedziesz?

—- Albo książę bitwę wygra, albo przegra. Jeżeli przegra, całe Prusy elektorskie pozostaną bez obrony i snadnie może się zdarzyć, że pan Sapieha przejdzie granice, aby elektora do decyzji skłonić... Owóż (mówię to, gdyż tajemnicy niema żadnej) jadę ostrzec, by jakowąś obronę tamtym prowincjom obmyślono, bo nieproszeni goście mogą w zbyt licznej kompanji nadciągnąć. Elektora to sprawa 1 Szwedów, z którymi książę pan jest

w przymierzu i od których również ma prawo ratunku wyglądać.

Oficer skończył.

Anusia zarzuciła go jeszcze mnóstwem pytań, z trudnością utrzymując należytą powagę, — zato gdy wyszedł, dała sobie folgę zupełną, poczęła rękoma po jubce uderzać, na korkach się jak fryga okręcać, Oleńkę po oczach całować, pana miecznika za wyloty ciągnąć, i wołać:

— A co? a co mówiłam? Kto zgnębił księcia Bogusława? może pan Sapieha?... figę pan Sapieha! Kto Szwedów tak samo zgnębi? kto zdrajców wypleni? kto największy kawaler, największy rycerz? Pan Andrzej! pan Andrzej !

— Jaki pan Andrzej?... — spytała nagle, blednąc, Oleńka.

—■ To ci nie mówiłam, że jemu Andrzej na imię? Sam mi to powiadał. Pan Babilliez! pan Babinicz! Niech żyjeipan Babinicz!... Już i pan Wołodyjowski lepiejby nie potrafił!... Co tobie, Oleńko?

Billewiczówna otrząsnęła się, jakby pragnąc zrzucić z siebie brzemię ciężkich myśli.

— Nic! Myślałam, że to imię sami zdrajcy noszą. Bo był ktoś, który króla podejmował się żywego lub umarłego Szwedom, albo księciu Bogusławowi sprzedać, i na imię miał także... Andrzej.

— Niech go Bóg potępi! — huknął miecz-

nik. — Co tam zdrajców przed nocą wspominać. Radujmy się lepiej, gdy jest czego!

— Niech tylko tu pan Babinicz nadciągnie! — dodała Anusia. — Otóż tak! Będę, będę, umyślnie będę jeszcze bardziej Brauna bałamuciła, by całe prezydjum pobuntował, i z ludźmi, z końmi i z nami razem do pana Babinicza przeszedł.

— Uczyń to waćpanna! uczyń! — zawołał rozochocony miecznik.

— A później figa tym wszystkim Niemcom... Może też on o tej niegodnej zapomni i mnie po... ko...

Tu znowu pisnęła cieniuteczko, zakryła oczy rękoma, — nagle gniewna myśl musiała jej przyjść do głowy, bo uderzyła piąstką w piąstkę i rzekła:

— Jak nie, — to za pana Wołodyjowskiego pójdę!

ROZDZIAŁ VII.

We dwa tygodnie później zawrzało w całych Taurogach. Pewnego wieczora nadciągnęły bezładne kupy wojsk Bogusławowych, po trzydzieści lub czterdzieści koni, nędzne, obdarte, do mar podobniejsze, niż do ludzi, i przyniosły wieść o klęsce Bogusławowej pod Janowem. Stracono w niej wszystko: armję, armaty, konie, tabor. Sześć tysięcy najświetniejszego ludu wyszło z księciem na tę wy-

prawę, wróciło zaś ledwo czterystu rajtarów, których sam książę wyprowadził z pogromu.

Z Polaków nie wróciła, prócz Sakowicza, jedna żywa dusza, wszyscy bowiem, którzy nie polegli w boju, których nie poznosił na podjazdach straszny Babinicz, przeszli do pana Sapiehy. Wielu także cudzoziemskich oficerów wołało dobrowolnie stanąć przy rydwanie zwycięzcy. Słowem, nigdy jeszcze żaden z Radziwiłłów nie powracał z wojennej wyprawy bardziej sterany, zniszczony i pobity.

A jak poprzednio dworackie pochlebstwo nie znało miary w wynoszeniu Bogusława, jako wodza, tak teraz wszystkie usta brzmiały nieustającą skargą przeciw niedołężnemu prowadzeniu wojny; w resztkach żołnierzy trwało nieustające wzburzenie, które w ostatnich dniach odwrotu sprowadziło zupełny bezład i doszło do tego stopnia, że książę osądził za rzecz roztropniejszą pozostać nieco wtyle.

Obaj z Sakowiczem zatrzymali się w Rosieniach. Hassling, dowiedziawszy się o tem od żołnierzy, poszedł natychmiast z nowiną do Oleńki.

— Główna rzecz, — rzekła mu, wysłuchawszy relacji, — czy pan Sapieha i ów Babinicz ścigają księcia i czy zamierzają wojnę przenieść w te strony?

— Z zeznań żołnierzy nic nie można wydobyć, — odpowiedział oficer, — bo przestrach przesadza wszelkie niebezpieczeństwa, są więc

tacy, którzy mówią, że pan Babinicz tuż. Z tego jednak, iż książę z Sakowiczem pozostali, wnoszę, iż pościg nie może być szybki.

— Ale wszakże musi nastąpić? Wszakże trudno inaczej mniemać? Któżby po zwycięstwie nie ścigał pobitego nieprzyjaciela?

— To się pokaże. 0 czem innem chciałem z panią pomówić. Książę wskutek choroby i niepowodzeń musi być rozdrażniony, zatem jako desperat do gwałtownych uczynków skłonny... Nie rozłączaj się pani teraz z ciotką i panną Borzobohatą; nie zgadzaj się na to, by pana miecznika do Tylźy wyprawiano, jako ostatnim razem przed wyprawą się stało.

Oleńka nie odrzekła nic; miecznika oczywiście nigdy do Tylży nie wyprawiano, tylko, gdy po uderzeniu go obuszkiem przez księcia chorzał dni kilka, Sakowicz, by ukryć przed ludźmi książęcy uczynek, umyślnie rozpuścił wieść, że stary do Tylży wyjechał. Oleńka wołała o tern przed Ketlingiem zamilczeć, bo dumnej dziewczynie wstyd było wyznawać, że ktoś jednego z Billewiczów, jak psa, poterał.

— Dziękuję waćpanu za ostrzeżenie — rzekła po chwili milczenia.

— Uważałem za swój obowiązek...

Lecz jej serce wezbrało znów goryczą. Przecież przed niedawnym czasem od Ketlinga zależało, by to nowe niebezpieczeństwo nie zawisło nad jej głową, przecież gdyby się był

Zgodził na ucieczkę, byłaby już daleko, raz na zawsze od Bogusława wolna.

— Panie kawalerze, — rzekła, — szczęście prawdziwe dla mnie, że to ostrzeżenie nie tyczy pańskiego honoru, ani że książę nie wydał rozkazu, ażebyś pan mnie nie ostrzegał.

Ketling zrozumiał przymówkę i odrzekł mową, której się Oleńka po nim nie spodziewała:

■— Co się służby mojej żołnierskiej tyczy i czego strzec mi honor nakazuje, to spełnię, albo życiem przypłacę. Innego wyboru nie mam i mieć nie clicę. Poza służbą wolno mi niegodziwościom zapobiegać. Więc jako prywatny człowiek zostawiam pani tę krócicę i mówię: broń się, bo niebezpieczeństwo bliskie, w razie potrzeby — zabij! Wówczas moja przysięga będzie rozwiązana i z ratunkiem ci pośpieszę.

To rzekłszy, skłonił się i zwrócił ku drzwiom, lecz Oleńka zatrzymała go.

—• Panie kawalerze, uwolnij się od tej służby, broń dobrej sprawy, broń skrzywdzonych, boś tego godzien, boś zacny, bo szkoda cię dla zdrajcy...

Na to Ketling:

—• Byłbym się dawno uwolnił i do dymisji i podał, gdyby nie to, żem mniemał, iż pozostając tu, tobie, pani, mogę być pożytecznym.

---

[1] o zwolnienie ze służby.

Dziś za późno. Gdyby książę wracał zwycięzcą, nie zawahałbym się chwili... gdy wraca zwyciężony, gdy być może, iż nieprzyjaciel za nim następuje, byłoby tchórzostwem żądać dymisji, póki sam kończący się termin mnie nie uwolni... Napatrzysz się pani dowoli, jak ludzie małego serca tłumem opuszczają pobitego, ale mnie między nimi nie obaczysz... Żegnam panią. Krócioa ta nawet pancerz z łatwością przebije...

Ketling wyszedł, pozostawiwszy broń na stole, którą Oleńka schowała natychmiast. Na szczęście, przewidywania młodego oficera i jej własne obawy okazały się płonnemi.

Książę nadjechał wieczorem wraz z Sakowiczem i Patersonem, ale tak pognębiony i chory, że ledwie na nogach mógł się utrzymać. Do tego sam dobrze nie wiedział, czyli pan Sapieha nie następuje lub czy nie ekspedjował na pościg Babinicza z lekkiemi chorągwiami.

Bogusław obalił był wprawdzie tego ostatniego w ataku wraz z koniem, ale nie śmiał się spodziewać, iż go zabił, gdyż zdawało mu się, że koncerz obsunął mu się w cięciu po Babiniczowej misiurce. Wreszcie raz on już przecie strzelił mu w samą twarz z pistoletu i na nic się to nie przydało.

Bolało księcia serce na myśl, co taki Babinicz uczyni z jego włościami, gdy się raz do nich ze swymi Tatary dostanie. A bronić ich

nie miał ozem! — i nietylko włości, ale nawet własnej osoby. Między jego jurgieltnikami nie było takich wielu, jak Ketling, i należało się spodziewać, że na pierwszą wieść o zbliżaniu się wojsk sapieżyńskich opuszczą go wszyscy co do jednego.

Książę też nie zamierzał zabawić w Taurogach dłużej nad dni dwa lub trzy, rnusiał bowiem śpieszyć do Prus Królewskich, do elektora i Śteinboka, którzy go mogli zaopatrzyć w nowe siły i użyć bądź do zdobywania miast pruskich, bądź wysłać w pomoc samemu królowi, zamierzającemu wyprawę w głąb Rzeczypospolitej.

W Taurogach wypadło zostawić tylko kogoś z oficerów, któryby ład w rozbite resztki wojsk wprowadził, opędzał się partjom chłopskim i szlacheckim, osłaniał dobra obu Radziwiłłów i porozumiewał się z Loewenhauptem, głównodowodzącym siłami szwedzkiemi na Żmudzi.

W tym celu, po przybyciu do Taurogów i po przespanej nocy, książę wezwał na naradę Sakowicza, któremu jednemu mógł ufać i zupełnie serce otworzyć.

Dziwne było owo pierwsze „dzieńdobry“ w Taurogach, jakie sobie powiedzieli dwaj przyjaciele po nieszczęsnej wyprawie. Czas jakiś patrzyli na siebie bez słowa. Przemówił pierwszy książę:

— A no! djabli wzięli!

— Wzięli! — powtórzył Sakowicz.

— Musiało tak być przy takiej aurze. Gdybym miał więcej lekkich chorągwi, lub gdyby licho nie przyniosło tego Babinicza... Do dwóch razy sztuka! Przezwał się wisielec. Nie powiadajże o tern nikomu, żeby mu jeszcze sławy nie przysparzać.

—-Ja nie powiem... Ale czy oficerowie nie będą trąbili, nie zaręczam, boś przecie książę prezentował go u swoich butów, jako chorążego orszańskiego.

— Oficerowie Niemcy nie rozumieją się na polskich nazwiskach. Im wszystko jedno: Kmicic, czy Babinicz. A! na rogi Lucypera, żebym go dostał! A miałem go... i jeszcze szelma ludzi mi pobuntował, głowbiczowski oddział odprowadził!... Musi to być jakiś bastard [1] po naszej krwi, nie może inaczej być!... Miałem go, miałem... i uszedł!... Więcej mnie to gryzie, aniżeli ta cała stracona wyprawa.

— Miałeś go książę, ale za cenę mojej głowy.

— Jasiu! powiem ci szczerze: niechby cię tam byli ze skóry obdarli, bylebym z Kmicicowej bęben mógł zrobić!

— Dziękuję ci, Bogusiu. Mniej po twojej przyjaźni nie mogłem się spodziewać.

Książę rozśmiał się:

— A skwierczałbyś na sapieżyńskim ru-

---

[1] nieprawy potomek.

szcie... Wszystkieby twoje szelmostwa z ciebie wytopili. Ma foi! chciałbym to widzieć !

— Ja zaś chciałbym cię widzieć w ręku Kmicica, twojego miłego krewniaka. Twarz masz inną, ale z postawy jesteście do siebie podobni, — i nogi macie jednej miary, i do jednej dziewki wzdychacie, tylko że ona, nie doświadczywszy, zgaduje, że tamten zdrowszy i że żołnierz lepszy.

—■ Takim dwom, jak ty, dałby rady, ale ja przejechałem mu po brzuchu... A gdybym był miał dwie minuty czasu, mógłbym ci teraz parol dać, że mój kuzynek nie żyje. Zawsześ był głupowaty i dlategom cię polubił, ale w ostatnich czasach zjełczał ci dowcip doreszty.

—- Zawsześ miał dowcip w piętach i dlatego takeś przed Sapiehą zmiatał, ażem cię znielubił i sam gotówem pójść do Sapiehy.

— Na powróz!

— Na ten, którym Radziwiłła zwiążą.

— Dosyć!

—■ Sługam waszej książęcej mości!

— Trzebaby kilku z tych rajtarów rozstrzelać, którzy najwięcej krzyczą, i ład wprowadzić.

— Kazałem dziś rano sześciu powiesić. Już i ostygli, a tańcują na sznurach zawzięcie, bo wiatr okrutny.

— Dobrześ zrobił. Słuchaj-no! Czy chcesz zostać na załodze w Taurogacli, bo muszę tutaj kogoś zostawić?

-— I chcę, i proszę o tę funkcję. Nikt się tu lepiej nie sprawi. Żołnierz boi się mnie więcej niż innych, bo wie, że żartów ze mną niema. Z uwagi na Loewenhaupta, lepiej, że zostanie ktoś poważniejszy od Patersona.

— Dasz-że sobie z rebelizantami rady?

•—• Upewniam waszą książęcą mość, że sosny źmudzkie będą rodziły łońskiego roku cięższe od szyszek owoce. Z chłopstwa ze dwa regimenty piechoty uczynię i po mojemu wyćwiczę. Na włości będę miał oko, a jeśli rebelizanci którą napadną, wnet rzucę'podejrzenie na jakiego bogatszego szlachcica i wycisnę go jak ser w worku. Na początek potrzebaby mi tyle tylko pieniędzy, żeby lafę zaspokoić i piechoty przybrać.

— Co będę mógł, zostawię.

— Z posaźnych?

—- Jakto?

— To się znaczy z billewiczowskich, które zgóry sam sobie wypłaciłeś.

— Żebyś mógł jako politycznie skręcić łeb temu miecznikowi, dobrzeby było, bo to się lekko mówi, a szlachcic skrypt ma.

— Postaram się. Jeno w tem rzecz, czy skryptu gdzie nie wysłał, albo czy go dziewka w koszulę nie zaszyła. Wasza książęca mość nie życzyłbyś sobie sprawdzić?...

— Przyjdzie do tego, — ale teraz muszę jechać, i przytem sił mnie ta przeklęta febris całkiem zbawiła.

— Zazdrość mi wasza książęca mość, że w Taurogach zostaję.

— Jakąś masz dziwną ochotę. Tylko... Czybyś ty czasem?... Hakami kazałbym cię rozerwać... Czemu to tak tej funkcji się napierasz?

—• Bo się chcę żenić.

— Z kim? — spytał książę, siadając na łóżku.

— Z panną Borzobohatą-Krasieńską.

— To jest dobra myśl, to jest przednia myśl! — rzeki po chwili milczenia Bogusław. — Słyszałem o jakimś zapisie...

—• Tak jest, po panu Longinie Podbipięcie. Wasza książęca mość wiesz, jaki to możny ród, a onego Longina majętności w kilku powiatach leżą. Wprawdzie jedne z nich jakieś tam dziewiąte wody po kisielu [1] zagarnęły, w drugich moskiewskie wojska stoją. Będzie procesów, bitek i zwad i zajazdów bezliku, ale ja dam sobie rady i jednego wyczółka [2] nikomu nie ustąpię. Przytem dziewka okrutnie mi się nadała, bo gładka i wabna. Jużem to zauważył zaraz po tern, kiedyśmy ją to zabrali, że udawała strach, a okiem ku mnie strzygła. Niech

---

[1] ludzie, powołujący się na rzekome lub bardzo dalekie pokrewieństwo. [2] tu: kawałka gruntu.

jeno tu jako komendant zostanę, z samego próżniactwa zaczną się amory...

— Jedno ci zapowiadam. Żenić się nie będę ci zabraniać, wszelako — słuchaj-no dobrze! — żadnych ekscesów, rozumiesz?! Bo to dziewka od Wiśniowieckich, samej księżnej Gryzeldy zaufana, a ja księżnej nie chcę obrazić przez estymę, ani pana starosty kałuskiego także.

— Nie trzeba ostrzegać, — odpowiedział Sakowicz, — bo skoro się chcę żenić regularnie, to i starać się muszę regularnie.

—■ Chciałbym, żeby cię odpaliła.

— Znam kogoś, kogo odpalili, chociaż jest księciem, ale tak myślę, że mnie się to nie przygodzi. Dziwnie mi ono strzyżenie oczyma dodaje otuchy.

— Nie przymawiajże temu, komu odpalono, aby cię rogaczem nie uczynił. Wyrobię ci w dodatku do herbu rogi, albo przydomek do nazwiska przybierzesz: Sakowicz Rogaty! Ona z domu Borzobohata, a on Bardzorogaty. Dobrana z was będzie para. Owszem, żeń się Jasiu, żeń, a daj znać o weselu, — będę drużbą.

Srogi gniew wystąpił na straszne i bez tego lica Sakowicza. Oczy przez chwilę zaszły mu jak dymem, ale wkrótce się opamiętał, i w żart obracając słowa książęce, odrzekł:

—■ Nieboże! na schody o własnej mocy ci niesporo, ą grozisz... Masz tu swoją Billewi-

czównę, dalej chuchraku! dalej! Będziesz ty jeszcze Babiniczowe dzieci piastował!

— Bodajżeś język złamał, taki synu! To z choroby się naigrawasz, która o włos mnie nie pogrążyła? Bodaj i ciebie tak oczarowano!

—■ Co tam czary! Czasem, gdy spojrzę, jak wszystko idzie naturalnym rzeczy porządkiem, to myślę, że czary głupstwo.

— Sameś głupi! Cicho bądź, nie wywołuj licha! Brzydniesz mi coraz więcej.

— Bodajbym nie był ostatnim Polakiem, który waszej książęcej mości wierny pozostał, bo za moją wierność samą niewdzięcznością mnie karmią. Wrócę oto w domowe pielesze i będę siedział spokojnie, końca wojny wyglądając.

—- Och, daj spokój! Wiesz, że cię miłuję.

—■ Ciężko mi to zmiarkować. Djabeł mi ten afekt dla waszej książęcej mości wszczepił. Jeśli w czem są czary, to w tem.

Sakowicz prawdę mówił, bo rzeczywiście Bogusława kochał; książę wiedział o tem, i dlatego płacił mu, jeśli nie głębszem przywiązaniem, to wdzięcznością, jaką ludzie próżni żywią zawsze dla tych, którzy ich uwielbiają.

Dlatego chętnie zgodził się na jego zamiary względem Anusi Borzobohatej i sam osobiście dopomóc mu postanowił.

W tym celu koło południa, gdy się czuł najzdrowszy, kazał się ubrać i poszedł do Anusi,

— Przyszedłem po dawnej znajomości dowiedzieć się o zdrowiu waćpanny — rzekł — i spytać się, czyli się waćpannie pobyt w Taurogacli podobał?

— Kto jest w niewoli, temu się wszystko musi podobać —■ odrzekła, wzdychając, Anusia.

Książę rozśmiał się.

— Waćpanna nie jesteś w niewoli. Zagarnięto cię razem z sapieżyńskimi żołnierzami, to prawda, i kazałem waćpannę tu odesłać, ale tylko dla bezpieczeństwa. Włos ci tu z głowy nie spadnie. Wiedz o tern waćpanna, że ja mało kogo tak szanuję, jak księżnę Gryzeldę, której serca bliską jesteś. I Wiśniowieccy i Zamojscy moi koligaci. Waćpanna tu znajdziesz wszelką wolność i wszelką opiekę, ja zaś przychodzę jako życzliwy przyjaciel i mówię tak: chcesz, to jedź, dam ci eskortę, choć samemu mi żołnierzy szczupło,— ale radzęć zostać. Waćpannę, iłem słyszał, wysłano dla odzyskania majętności zapisanych. Wiedzże, iż teraz nie czas o tern myśleć i że nawet w spokojnych czasach protekcja pana sapieżyńska na nic, bo on jeno w Witebskiem może wskórać, tu nic. Zresztą sam się tą sprawą nie zajmie, jeno przez komisarzy... Waćpannie trzebaby człowieka życzliwego a obrotnego, któryby strach i estymę u ludzi miał. Taki gdyby się zajął, pewnie nie dałby sobie głomy zamiast ziarna w garść wetknąć.

— Gdzie ja sierota znajdę takiego opiekuna?! — zawołała Anusia.

— Właśnie, że w Taurogach.

— Wasza książęca mość raczyłby sam...

Tu Anusia złożyła rączki i spojrzała tak ślicznie w Bogusławowe oczy, że gdyby książę nie był tak umęczon i sterany, pewnieby zaraz mniej szczerze począł o sakowiczowskiej sprawie myśleć, lecz że mu amory nie były w głowie, więc odrzekł prędko:

— Gdybym jeno mógł, nikomubym tak wdzięcznej funkcji nie powierzał; ale ja wyjeżdżam, bo muszę. Na mojem miejscu zostaje komendantem w Taurogach pan starosta oszmiański, Sakowicz, kawaler wielki, żołnierz sławny i człek tak obrotny, jak drugiego na całej Litwie niemasz. Owóż, powtarzam, ostań się waćpanna w Taurogach, bo jechać nie masz gdzie, gdy wszędzie pełno grasantów i łotrzykowie a rebelizanci wszystkie drogi infestują i. Sakowicz ci tu da opiekę, Sakowicz cię obroni, Sakowicz rozpatrzy się, co można dla wywindykowania [2] tych majętności uczynić, — a gdy się tylko do tego raz weźmie, zaręczam, że nikt w świecie prędzej do pomyślnego końca nie doprowadzi. Mój to przyjaciel, więc go znam, i tyle tylko o nim waćpannie powiem, że gdybym ja sam majętności waćpanny zagarnął, a potem dowiedział

---

[1] napadają. [2] odzyskania.

się, że Sakowicz przeciwko mnie występuje, tobym się wołał ich zrzec dobrowolnie, bo z nim niebezpiecznie się spierać.

—■ Byleby tylko pan Sakowicz zechciał sierocie przyjść w pomoc...

— Nie bądź mu jeno krzywa, a dla waćpanny wszystko on uczyni, bo mu twoje śliczności głęboko w serce zapadły. Już on tam chodzi i wzdycha...

— Gdzie jabym tam komu mogła wpaść w serce.

— Szelma dziewczyna! — pomyślał książę.

Głośno zaś dodał:

—— Niechże Sakowicz wytłumaczy, jak się to stało, a waćpanna nie bądź mu tylko krzywa, bo to człek zacny i ze znamienitego rodu, więc takim nie życzę pogardzać.

ROZDZIAŁ VIII.

Nazajutrz rano książę odebrał wezwanie od elektora, aby co prędzej pośpieszył do Królewca dla objęcia komendy nad świeżo zaciągniętemi wojskami, które miały iść pod Malborg lub pod Gdańsk. List zawierał także wiadomości o śmiałej wyprawie Karola Gustawa wdół Rzeczypospolitej aż do krajów ruskich. Elektor przewidywał zły koniec tej wyprawy, ale właśnie dlatego pragnął stanąć na czele sił jak największych, aby, w razie

potrzeby, jednej lub drugiej stronie stać się niezbędnym, drogo się sprzedać i losy wojny przeważyć. Z tych powodów zalecał młodemu księciu wszelki możliwy pośpiech, tak dalece zaś chodziło mu o uniknięcie mitręgi, że za pierwszym gońcem wysłał i drugiego, który przybył we dwanaście godzin później.

Książę więc nie miał ani chwili do stracenia i niedość czasu do odpoczynku, febra bowiem wróciła znowu z dawną siłą. Jednak trzeba było jechać. Zaczem zdawszy władzę Sakowiczowi, rzekł mu:

— Być może, iż przyjdzie miecznika i dziewczynę przewieźć do Królewca. Tam łatwiej przyjdzie się pocicliu z nieprzyjaznym człekiem uporać; dziewkę zaś, byłem był zdrów, wezmę ze sobą do obozu, bo dość mi tych ceremonij.

— Dobrze, to się i komput wojsk może powiększyć — odparł na pożegnanie Sakowicz.

W godzinę później nie było już księcia w Taurogach. Został Sakowicz, jako pan samowładny, uznający nad sobą jedną tylko władzę: władzę Anusi Borzobohatej. I proch przed jej stopami zaczął zdmuchiwać, jak niegdyś sam książę przed stopami Oleńki. Hamując dziką swą naturę, był dwornym, uprzedzającym chęci, zgadującym myśli, a zarazem trzymał się zdała, z całym szacunkiem, z jakim powinien być światowy kawaler dla panny, o której rękę i serce się stara.

Jej zaś, trzeba wyznać, spodobało się owo królowanie w Taurogach; miło jej było pomyśleć, że, gdy wieczór nadchodzi, w dolnych salach, na korytarzach, w cekhauzie, w sadzie, jeszcze zimowym szronem okrytym, — rozlegają się wzdychania starszych i młodszych oficerów, że nawet astrolog wzdycha, patrząc w gwiazdy ze swej samotnej wieży, że nawet stary miecznik westchnieniami przerywa wieczorny różaniec.

Najlepszą będąc dziewczyną, była przecie rada, że nie ku Oleńce idą owe afekty strzeliste, ale ku niej; była rada i ze względu na Babinicza, bo czuła swoją moc i przychodziło jej do głowy, że jeśli nigdy nikt się jej nie oparł, to musiała i na jego sercu trwałe oczyma wypalić znaki.

— O tamtej zapomni, nie może inaczej być, bo niewdzięcznością go tam karmią, a gdy się to stanie, wie gdzie mnie szukać i poszuka... rozbójnik jeden!

Zaraz potem odgrażała się w duszy:

— Czekaj! odpłacę ja ci, nim pocieszę...

Sakowicza tymczasem, niezbyt nawet lubiąc, mile widziała. Prawda, że usprawiedliwił się jej w oczach z zarzutu zdrady w ten sam sposób, w jaki miecznikowi wytłumaczył się Bogusław. Zatem mówił, że ze Szwedem już był pokój zawarty, już Rzeczpospolita odetchnąć i zakwitnąć miała, gdy pan Sapieha dla swej prywaty wszystko popsował.

Anusia, niezbyt się na tych sprawach znając, puszczała te słowa mimo uszu. Lecz natomiast uderzyło ją coś innego w opowiadaniach pana starosty oszmiańskiego.

—- Billewicze — mówił — krzyczą wniebogłosy na swą krzywdę i niewolę, a przecież nic im się tu nie stało i nie stanie. Nie puszczał ich książę z Taurogów, prawda, ale to dla ich dobra, bo o trzy staje za bramą zginąć już od grasantów lub leśnych osaczników mogli. Nie puszczał ich i dlatego, że pannę Billewiczównę pokochał, i to prawda! Któż wszelako go nie usprawiedliwi? kto, czułe serce mając i wzdychaniami obarczone piersi, inaczejby postąpił? Gdyby miał mniej zacne intencje, pewnieby, jako pan tak potężny, mógł wodzów sobie popuścić, — lecz on chćiał się żenić, chciał wynieść tę oporną pannę do swego książęcego stanu, szczęśliwościami ją obsypać, koronę radziwiłłowską na jej głowę włożyć, — i za to inwektywy nań ci niewdzięczni ludzie rzucają, sławy mu i zacności ujmując...

Anusia, niezbyt wierząc, spytała zaraz tego samego dnia Oleńki, czy prawda, że książę chciał się z nią żenić? Oleńka zaprzeczyć nie mogła, a że były już ze sobą poufałe, więc przytoczyła swoje racje. Wydały się one Anusi słuszne i dostateczne, ale przecie pomyślała sobie, że Billewiczom nie było znów tak ciężko wTaurogach, ani książę z Sakowiczem niebyli

takimi zbrodniarzami, za jakich ich pan miecznik rosieński ogłosił.

To też gdy nadeszły wieści, że pan Sapieha z Babiniczem nie tylko nie zbliżają się ku Taurogom, ale pociągnęli wielkiemi pochodami na króla szwedzkiego, aż hen, ku Lwowu, Anusia wpadła naprzód w złość, a potem jęła rozumować, że gdy ićli niema, to na nic uciekać z Taurogów, bo można życie stracić lub, w najlepszym razie, spokojny pobyt zmienić w pełną niebezpieczeństw niewolę.

Przyszło z tego powodu do sporów między nią a Oleńką i miecznikiem; lecz i oni nawet przyznać musieli, że odejście pana Sapiehy wielce ucieczkę utrudnia, jeżeli całkiem niepodobną jej nie uczyni, tern bardziej, że w kraju wrzało coraz bardziej i nikt z mieszkańców jutra pewien być nie mógł. Zresztą, chociażby i nie przyznawali racyj Anusinych, ucieczka bez jej pomocy, wobec czujności Sakowicza i innych oficerów, była niemożliwą. Ketling jeden był im oddany, ale do żadnego układu przeciwnego służbie wciągnąć się nie dawał, przytem często bywał nieobecny, bo go Sakowicz jako doświadczonego żołnierza i zdolnego oficera rad używał przeciwko zbrojnym kupom konfederatów i grasantów, zaczem często z Taurogów wysyłał.

A Anusi coraz było w nich lepiej.

Sakowicz oświadczył jej się w miesiąc po wyjeździć księcia, ale zwodnica dała mu chytrą

odpowiedź, że go nie zna, że różnie o nim mówią, że nie miała czasu jeszcze go polubić, że bez pozwolenia księżnej Gryzeldy wychodzić zamąż nie może, a nakoniec, że chce go na rok próby wystawić.

Starosta zżuł gniew, kazał dać tego dnia jednemu rajtarowi za błahe przewinienie trzy tysiące rózeg, po których pochowano biednego żołdaka, — lecz rnusiał się na Anusine kondycje zgodzić. Ona zaś zapowiedziała pankowi, że jeżeli będzie służył jeszcze wierniej, pilniej i pokorniej, to za rok i tak dostanie tylko tyle, ile będzie jej łaska.

W ten sposób igrała z niedźwiedziem, lecz tak już zdążyła go opanować, że stłumił nawet mruczenie, odrzekł jej tylko:

— Z wyjątkiem zdrady księcia, wszystkiego waćpanna ode mnie wymagaj, choćby tego, bym na kolanach chodził...

Gdyby Anusia wiedziała, jak straszne Sakowiczowego zniecierpliwienia skutki spadają na całą okolicę, możeby go tak nie drażniła. Żołnierze i mieszczanie w Taurogach drżeli przed nim, bo karał ciężko całkiem bez winy, nad wszelką miarę. Jeńcy konali w łańcuchach z głodu lub przypiekani żelazem.

Nieraz zdawało się, że dziki starosta chce ochłodzić wzburzoną i spiekłą żarem miłości duszę w krwi ludzkiej, bo zrywał się nagle i sam chodził na wyprawy. A zwycięstwo chodziło najczęściej jego śladem. Wycinał w pień

kupy rebelizantów; wziętym do niewoli chłopom kazał dla przykładu ucinać prawe ręce i puszczał do domów wolno.

Groza jego imienia opasała tu jakby murem Taurogi; znaczniejsze nawet oddziały patrjotów nie ośmieliły się zapuszczać dalej, jak pod Rosienie.

Cisza stała się wszędzie, a on z powsinogów niemieckich, z miejscowego chłopstwa, formował za pieniądze wyciśnięte z okolicznych mieszczan i szlachty coraz nowe posiłki, i rósł w siły, ażeby ich swemu księciu w razie ciężkiej potrzeby dostarczyć.

Wierniejszego i straszniejszego sługi nie mógł Bogusław znaleźć.

W Anusię zato patrzył Sakowicz coraz tkliwiej swemi strasznemi bladoniebieskimi oczyma i na lutni jej grywał.

Płynęło tedy życie w Taurogach dla Anusi wesoło i zabawnie, dla Oleńki ciężko i jednostajnie. Z jednej szły promienie wesołości, jak owo światełko, które nocami bije od świętojańskiego robaczka; drugiej twarz stawała się coraz bledszą, poważniejszą, surowszą, czarne brwi ściągały się coraz mocniej na białem czole, tak, że wkońcu przezwano ją zakonnicą. I miała w sobie coś z mniszki. Poczęła się oswajać z tą myślą, że nią zostanie, że ją sam Bóg, przez ból, przez zawody, za kratę do spokoju prowadzi.

Nie ta to już była dziewczyna ze ślicznemi

rumieńcami na twarzy i szczęściem w oczach, nie ta Oleńka, która niegdyś, jadąc w saniach z narzeczonym, panem Andrzejem Kmicicem, krzyczała: „Hej! hej!“ — na bory i lasy!

Wiosna czyniła się na świecie. Rozpętane z lodu wody Bałtyku począł kołysać wiatr duży a ciepły, potem drzewa zakwitły, strzeliły kwiaty z surowych liściastych obsłon, potem słońce zaczęło bywać znojne, — a biedna dziewczyna próżno wyglądała końca taurożańskiej niewoli, bo i Anusia nie cliciała uciekać, i w kraju coraz straszniej było.

Miecz i ogień srożył się tak, jakby nigdy zmiłowanie Boże nastąpić nie miało. Owszem, kto nie chwycił szabli lub dzidy zimą, ten schwytał ją wiosną; śnieg śladów nie zdradzał, gdy bór dawał lepsze schronienie i ciepło wojnę czyniło łatwiejszą.

Wieści jako jaskółki nadlatywały do Taurogów, czasem groźne, czasem pocieszające. I jedne i drugie święciła czysta dziewczyna modlitwą, a oblewała łzami smutku lub radości.

Więc naprzód mówiono o okropnem całego narodu powstaniu. Ile było drzew w borach Rzeczypospolitej, ile kłosów kołysało się na jej łanach, ile gwiazd świeciło po nocach między Tatrami a Bałtykiem, tyle wstało przeciw Szwedom wojowników: — którzy szlachtą będąc, do miecza a wojny z woli Bożej i przyrodzonego rzeczy porządku się rodzili; któ-

rzy skiby pługiem krając, obsiewali ziarnem tę krainę; którzy handlem i rzemiosły po miastach się parali; którzy żyli w puszczach z pszczelnej pracy, z wypalania smoły, z topora lub strzelby; którzy nad rzekami siedząc, rybactwem się trudnili; którzy na stepach koczowali ze stadami, — wszyscy chwycili za broń, aby najezdnika z kraju wyżenąć.

Już Szwed tonął w tej liczbie, jako w rzece wezbranej.

Ku podziwowi całego świata, bezsilna jeszcze niedawno Rzeczpospolita znalazła więcej szabel w swojej obronie, niż mógł ich mieć cesarz niemiecki lub król francuski.

Potem przyszły wieści o Karolu Gustawie, jako szedł coraz w głąb Rzeczypospolitej z nogami we krwi, z głową w dymach i płomieniach, bluźniąc. Spodziewano się lada chwila usłyszeć wieść o jego śmierci i zagubię wszystkich wojsk szwedzkich.

Imię Czarnieckiego .rozlegało się coraz potężniej od ściany do ściany, przejmując strachem nieprzyjaciół, wlewając otuchę w serca polskie.

— Zbił pod Kozienicami! — mówiono jednego dnia; — zbił pod Jarosławiem! — powtarzano w kilka tygodni później; — zbił pod Sandomierzem! — powtarzało dalekie echo. Dziwiono się temu tylko, skąd się jeszcze bierze tyle Szwedów po takich pogromach.

Nakoniec przyleciały nowe stada jaskółek, a z niemi fama [1] o uwięzieniu króla i całej armji szwedzkiej w widłach rzecznych. Zdawało się, że koniec tuż, tuż.

Sam Sakowicz w Taurogach przestał chodzić na wyprawy, jeno listy po nocach pisywał i w różne strony rozsyłał.

Miecznik był jakoby obłąkany. Godzien wieczorem wpadał z wieściami do Oleńki. Czasem gryzł ręce, gdy sobie wspomniał, że trzeba siedzieć w Taurogach. Tęskniła w pole stara żołnierska dusza. Wkońcu zaczął się zamykać w swojej stancji i nad czemś po całych godzinach rozmyślać. Raz chwycił niespodzianie Oleńkę w ramiona, zaryczał wielkim płaczem i rzekł jej:

— Miłaś ty dziewczyno, córuchno jedyna, ale ojczyzna milsza.

I nazajutrz dzień znikł, jakoby w ziemię się zapadł.

Oleńka znalazła tylko list, a w nim słowa następujące:

„Bóg cię błogosław, dziecko kochane. Rozumiałem ja ci dobrze, że ciebie, a nie mnie strzegą, i że samemu mi łatwiej wymknąć się przyjdzie. Niechże mnie Bóg sądzi, jeślim ja to, niebogo sieroto, z zatwardziałości serca i braku ojcowskiego afektu dla ciebie uczynił. Ale męka była od pacjencji większa i nie

[1] wieść.

mogłem, na rany Chrystusa Pana przysięgam, nie mogłem już dłużej wysiedzieć. Bo jakem pomyślał, że się tam najszczersza krew polska rzeką pro patria et libertate [1] leje, a mojej ni kropli w tej rzece niemasz, tedy mi się wydało, że mnie anieli niebiescy za to potępią... Nie rodzić mi się było na świętej Żmudzi naszej, gdzie żywię amor patriae [2] i męstwo, nie rodzić mi się było ni szlachcicem, ni Billewiczem, — tobym przy tobie został i ciebie strzegł. Ale ty, mężem będąc, uczyniłabyś to samo, więc i mnie odpuścisz, iżem cię, jako Daniela, samą w jaskini lwów porzucił. Którego że Bóg w miłosierdziu swojem konserwował, tak też mniemam, że i nad tobą będzie lepsza od mojej, Najświętszej Panny, Królowej naszej, protekcja“.

Oleńka łzami oblała pismo, ale pokochała stryjca za ten postępek jeszcze lepiej, bo jej serce dumą wezbrało. Tymczasem uczynił się w Taurogach hałas niemały. Sam Sakowicz wpadł do dziewczyny z fur ją wielką i, nie zdejmując czapki z głowy, spytał:

— Gdzie stryj waćpanny?

— Gdzie wszyscy, prócz zdrajców, są!... W polu!

— Waćpanna wiedziałaś o tem!... — krzyknął starosta.

A ona, zamiast się stropić, postąpiła kilka

[1] za ojczyznę i za wolność. [2] miłość ojczyzny.

kroków ku niemu, i mierząc go oczyma z niewypowiedzianą pogardą, odrzekła:

— Wiedziałem, — i cóż?

— Waćpanna... ej ! gdyby nie książę!... Waćpanna przed księciem odpowiesz!...

— Ni przed księciem, ni przed jego pachołkiem. A teraz proszę!...

I palcem wskazała mu drzwi.

Sakowicz zgrzytnął zębami i wyszedł.

Tego samego dnia zagrzmiało w całych Taurogach o zwycięstwie wareckiem i taka trwoga padła na wszystkich stronników szwedzkich, że sam Sakowicz nie śmiał karać księży, którzy publicznie odśpiewali w okolicznych kościołach „Te Deum“.

Wielki też ciężar spadł mu z serca, gdy w kilka tygodni później przyszło z pod Malborga pismo Bogusławowe z doniesieniem, iż król wymknął się z rzecznego saku. Lecz inne nowiny były wielce niepocieszne. Książę żądał posiłków i nie kazał zostawiać w Taurogach więcej wojsk, niżby tego konieczna obrona wymagała.

Gotowe rajtarje wyszły na drugi dzień, a z niemi Ketling, Oettingen, Fitz-Gregory, — słowem wszyscy znamienitsi, prócz Brauna, który koniecznie był Sakowiczowi potrzebny.

Taurogi opustoszały jeszcze bardziej, niż po wyjeździe księcia.

Anusia Borzobohata poczęła się nudzić i tem bardziej Sakowiczowi dokuczać. On zaś

myślał, czyby się do Prus nie przenieść, bo ośmielone odejściem wojsk piartje jęły znowu przesuwać się za Rosienie i zbliżać do Taurogów. Sami Billewicze zebrali do pięciuset koni z obywatelstwa, drobnej szlachty i chłopów. Porazili oni znacznie pułkownika Biitzowa, który przeciw nim wyciągnął, i przepłókiwali bez miłosierdzia wszystkie wsie radziwiłłowskie.

Ludność garnęła się do nich chętnie, bo żaden ród, sami nawet Chlebowiczowie, nie cieszyli się taką między pospólstwem czcią i powagą. Sakowiczowi żal było zostawiać Taurogi na łaskę nieprzyjaciół, wiedział także, że w Prusach trudno mu będzie o pieniądze, o posiłki, że tu rządzi, jak chce, tam władza jego zmaleć musi, — jednakże tracił coraz bardziej nadzieję, czy się potrafi utrzymać.

Pobity Biitzow schronił się pod jego opiekę, a wieści, które przywiózł o potędze i wzroście rebelji, skłoniły ostatecznie Sakowicza na stronę pruską.

Jako zaś człowiek stanowczy i lubiący prędko doprowadzić do skutku to, co zamierzył, w dziesięć dni ukończył przygotowania, wydał rozkazy i miał ruszyć.

Nagle trafił on na niespodziewany opór, i to ze strony, z której najmniej go się spodziewał, bo ze strony Anusi Borzobohatej.

Anusia nie myślała do Prus jechać. W Taurogach było jej dobrze. Postępy konfederaci

kich „partyj“ nie przestraszały jej bynajmniej, i gdyby Billewicze uderzyli na same Taurogi, jeszczeby była rada. Rozumowała sobie przytem, że na obczyźnie, między Niemcami, zostawałaby zupełnie na łasce Sakowicza, że łatwiejby tam mogło przyjść do jakowychś zobowiązań, do których nie miała ochoty, więc postanowiła upierać się przy pozostaniu. Oleńka, której wyznała swoje przyczyny, nietylko potwierdziła ich słuszność, ale najmocniej, ze łzami w oczach, poczęła ją błagać, aby oparła się wyjazdowi.

— Tu zbawienie może jeszcze przyjść, nie dziś, to jutro, — mówiła, -— tam zginiemy obie.

Anusia zaś jej na to:

— A widzisz! A małoś to mnie nałajała za to, że i pana starostę chciałam pogrążyć, choć ja o niczern nie wiedziałam, jak księżnę Gryzeldę kocham, tylko to jakoś tak samo z siebie przyszło. A teraz zważał-liby on na mój opór, gdyby nie był pogrążon? A co?

— Prawda, Anusiu, prawda! — odrzekła Oleńka.

— Nie turbujże się, kwiatuszku najśliczniejszy! Nogą się z Taurogów nie ruszymy, jeszcze Sakowiczowi dokuczę w dodatku okrutnie.

—■ Dajże Boże, byś co wskórała.

— Jabym nie miała wskórać?... Wskóram, — raz dlatego, że mu chodzi o mnie, a po wtóre, jak mniemam, o moje majętności. Pogniewać mu się ze mną łatwo, a nawet

szablą mnie zranić, ale w takim razie wszystkoby przepadło.

I pokazało się, że ma słuszność. Sakowicz przyszedł do niej wesół i pewien siebie, ona ¡zaś przywitała go z minką wielce pogardliwą.

— Podobno — spytała — waćpan ze strachu przed panami Billewiczami do Prus chcesz uciekać?

— Nie przed panami Billewiczami — odrzekł, marszcząc brwi — i nie ze strachu, jeno się tam przenoszę z roztropności, abym więcej przeciw tym zbójom mógł ze świeżemi siłami dokazać.

— To szczęśliwej drogi.

— Jakto? Zali myślisz, że bez ciebie pojadę, moja nadziejo najmilejsza?

—• Kogo tchórz oblatuje, niech w ucieczce ma nadzieję, nie we mnie. Zbytnioś waćpan poufały, ja zaś, gdybym potrzebowała konfidenta, pewniebyś nie waćpan nim został.

Sakowicz pobladł z gniewu. Dałby on jej, gdyby nie była Anusią Borzoboliatą! Lecz bacząc, przed kim stoi, pomiarkował się, straszną swą twarz ocukrzył i odrzekł, niby żartując:

— Ej, nie będę pytał! Wsadzę do kolaski i powiozę!

— Tak? — spytała dziewczyna. — Tom, widzę, wbrew intencjom księcia, w niewoli tu trzymana? Wiedz-że waćpan o tern, że jeśli to uczynisz, słowa więcej w życiu do waćpana

nie przemówię, tak niech mi Pan Bóg dopomoże, — bo ja w Lubniach chowana i dla tchórzów największą mam pogardę. Bodajem nie była wpadła w takie ręce!... Bodaj mnie pan Babinicz do sądnego dnia na Litwę wiózł, bo ten się nie bał nikogo!

— Dla Boga! — krzyknął Sakowicz. — Powiedzże mi przynajmniej, czemu do Prus nie chcesz jechać?

Lecz Anusia poczęła udawać płacz i desperację.

— Wzięli mnie jako Tatarzyni w niewolę, choć ja księżnej Gryzeldy wychowanka i nikt do mnie nie miał prawa. Wzięli i więżą, za morza gwałtem wywożą, na wygnanie mnie skazują, rychło patrzeć, jak kleszczami będą szarpali!... o Boże! o Boże!

— Bójże się waćpanna tego Boga, którego wzywasz! — zawołał pan starosta. — Kto cię kleszczami będzie szarpał?

— Ratujcie mnie wszyscy święci! — powtarzała, łkając, Anusia.

Sakowicz sam nie wiedział, co ma czynić; dusiła go wściekłość, gniew; chwilami myślał, że zwarjuje, albo że Anusia zwarjowała. Nakoniec rzucił się jej do nóg i przyrzekł, że w Taurogach zostanie. Wówczas ona zaczęła go prosić, iżby odjechał, jeśli się boi, czem go do ostatniej doprowadziła rozpaczy, tak, że się zerwał i, wychodząc, rzekł:

— Dobrze! Zostajem w Taurogach, a czy

się boję panów Billewiczów, to się wkrótce pokaże.

I tego samego dnia, zebrawszy resztki pobitych wojsk Biitzowa i swoje własne, poszedł, ale nie do Prus, tylko za Rosienie, przeciw panom Billewiczom, którzy w lasach girlakolskich stali obozem. Nie spodziewali się oni żadnego napadu, bo już wieść o izamierzonem wyjściu wojsk z Taurogów powtarzano od kilku dni w okolicy, więc starosta, napadłszy nieubezpieczonych, rozniósł ich na szablach i kopytach. Sam miecznik, pod którego dowództwem stał oddział, ocalał z pogromu, ale dwóch Billewiczów z innej linji poległo; z nimi trzecia część żołnierzy; pozostali rozpierzchli się na cztery świata strony. Kilkudziesięciu jeńców przyprowadził starosta do Taurogów i stracić wszystkich rozkazał, zanim Anusia mogła wystąpić w ich obronie.

0 opuszczeniu Taurogów nie było już mowy i nie potrzebował pan starosta tego czynić, bo po tern nowiem zwycięstwie piartje nie śmiały przechodzić na tę stronę Dubisy.

Sakowicz spanoszał i chełpił się niezmiernie, że byle mu Loewenhaupt przysłał tysiąc dobrych koni, on w całej Żmudzi rebelję zetrze. Ale Loewenliaupta nie było już w tych stronach; Anusia zaś źle przyjęła starościńską chełpliwość.

— To z panem miecznikiem — rzekła — łatwo się udało... Ale niechby tam był ten,

przed którym obaście z księciem precz umykali, pewnie byłbyś waćpan i beze mnie do Prus za morze wyjechał.

Starostę ubodły te słowa do żywego.

— Naprzód, nie imaginuj sobie waćpanna, żeby Prusy były za morzem, bo za morzem jest Szwecja, a po wtóre: przed kimźeśmy to tak ;z księciem umykali?

— Przed panem Babiniczem! — odrzekła, dygając z wielką ceremonją.

— Bodajem go kiedyś na długość szabli spotkał!

— Pewniebyś waćpan na głębokość szabli leżał w ziemi... Ale nie wywołuj wilka z lasu!

Sakowicz rzeczywiście nieszczerze tego wilka wywoływał, bo lubo był człowiekiem niezrównanej odwagi, jednakże przed Babiniczem czuł on jakiś strach, prawie zabobonny, tak okropne zostały mu po nim z ostatniej wojny wspomnienia. ■ Nie wiedział przy tern, jak prędko już to groźne nazwisko usłyszy.

Nim jednak rozebrzmiało po całej Żmudzi, przyszła w czas jakiś inna, dla jednych najradośniejsza z radosnych, dla Sakowicza zaś straszliwa wieść, którą w dwóch słowach powtarzały wszystkie usta w całej Rzeczypospolitej :

— Warszawa wzięta!

Zdawało się, że ziemia rozstęp uje się pod nogami zdrajców, lub że całe niebo szwedzkie wali się na ich głowy wraz ze wszystkiemi

bóstwami, które nad niem świeciły dotychczas jako słońca. Uszy nie chciały wierzyć, że kanclerz Oxenstierna w niewoli, Ersken w niewoli, Loewenhaupt w niewoli, Wrangel w niewoli, Wittemberg, sam wielki Wittemberg, który całą tę Rzeczpospolitą krwią oblał, który połowę jej jeszcze przed nadejściem Karolowem podbił, w niewoli! że król Jan Kazimierz triumfuje, a po zwycięstwie sąd będzie czynił nad grzesznymi.

A wieść biegła jakby na skrzydłach, huczała jak granat nad całą Rzecząpospolitą, — szła przez wsie, bo chłop powtarzał ją chłopu; szła przez pola, bo łan zbożowy nią szumiał; szła przez lasy, bo sosna powtarzała ją sośnie, orły krakały o niej w powietrzu — i tem bardziej, kto żyw, chwytał za broń.

W mig zapomniano koło Taurogów o girlakolskiej klęsce. Straszny niedawno Sakowicz zmalał we wszystkich, ba, nawet we własnych swoich oczach; partje poczęły na nowo wpadać na oddziały szwedzkie; Billewicze, ochłonąwszy po ostatnim pogromie, przeszli znów Dubisę na czele swych chłopów i resztek szlachty laudańskiej.

Sakowicz sam nie wiedział, co począć, gdzie się obrócić, skąd wyglądać ratunku. Oddawna nie miał wieści od księcia Bogusława i próżno łamał głowę, gdzie on, przy jakich wojskach może się znajdować? I chwilami niepokój

ogarniał go śmiertelny, czy książę nie dostał się także do niewoli?

Z przerażeniem przypominał sobie, iż książę mówił mu, że tabor skieruje ku Warszawie i że jeżeli uczynią go komendantem nad załogą w stolicy, to woli tam być, gdyż łatwiej się stamtąd na wszystkie strony oglądać.

Nie brakło też ludzi, którzy twierdzili na pewno, że książę rnusiał wpaść w ręce Jana Kazimierza.

— Gdyby księcia nie było w Warszawie, — mówiono, — pocóżby miłościwy pan nasz w amnestji [x], którą wszystkim Polakom przy załodze zostającym zgóry udzielił, jego jednego wyjmował? Musi on już być w mocy królewskiej, a że wiadomo, iż głowa księcia Janusza na pień była przeznaczona, przeto i Bogusławowa pewno spadnie.

Skutkiem rozmyślań, doszedł Sakowicz do tego samego przekonania i borykał się z rozpaczą, bo raz, że księcia kochał, a po wtóre wiedział, że w razie śmierci tego potężnego protektora, łatwiej najdzikszy zwierz zdoła uchronić głowę w tej Rzeczypospolitej, niż on, który był prawą ręką zdrajcy.

Zdawało mu się, że pozostaje jedno tylko: nie zważać już na Anusin opór i uciec do Prus, tam szukać chleba, służby.

— Lecz co będzie, — pytał się nieraz sam

---

[1] ogólnem darowaniu kary winowajcom.

siebie starosta, — gdy i elektor ulęknie się gniewu polskiego majestatu i wszystkich zbiegów wyda?

Nie było wyjścia, a schronienie chyba za morzem, w Szwecji samej.

Na szczęście, po tygodniu tych niepewności i męki, przybył od księcia Bogusława goniec z długim listem własnoręcznym:

„Warszawa odjęta Szwedom — pisał książę. — Tabor mój i rzeczy przepadły. Recedere już za późno, bo taka na mnie tam zawziętość, żem był od amnestji wyłączon. Ludzi moich u samych bram Warszawy poszarpał Babinicz. Ketling w niewoli. Król szwedzki, elektor i ja, razem ze Steinbokiem i wszystkiemi siłami idziemy pod stolicę, gdzie walna bitwa niebawem nastąpi. Carolus kinie się, że ją wygra, chociaż biegłość Kazimierzowa w prowadzeniu wojny konfunduje go niepomału. Ktoby się spodziewał, że w eks-jezuicie tak wielki strategos [1] siedzi? Ale jam to poznał jeszcze pod Beresteczkiem, bo tam wszystko się działo jego i Wiśniowieckiego głową. Mamy nadzieję w tem, że pospolite ruszenie, którego przy Kazimierzu było na kilkadziesiąt tysięcy, rozlezie się do domów, albo że pierwszy zapał ostygnie, i bić się tak dobrze nie będzie. Daj Bóg popłoch jakowy między tą chasą, wówczas Carolus walną może klęskę

[1] wódz.

zadać, choć, co po niej będzie, niewiadomo, i sami jenerałowie powiadają sobie pocichu, że ta rebelja, to hydra, której coraz nowe głowy rosną. Mówi się: „Naprzód odebrać znów Warszawę“. Gdym to z ust Karola usłyszał, pytałem, co potem? Nie rzekł nic. A tu siły nasze kruszeją, ich zaś rosną. Nowej wojny zaczynać niema z czem. I animusz już nie ten, i nikt się z naszych nie chwyci tak Szwedów, jak na początku. Wuj elektor milczy, jak zwykle, ale to widzę dobrze, że jeśli bitwę przegramy, pocznie Szwedów nazajutrz bić, aby się w łaski Kazimierzowi wkupić. Ciężko uderzać w pokorę, ale musimy! Daj tylko Bóg, żeby mnie przyjęto i żebym cały wyszedł, substancji wszystkiej nie straciwszy. W Bogu tylko ufność, ale bojaźni trudno się uchronić i trzeba złe przewidywać. Dlatego, co można z majętności za gotowy grosz zastawić albo i przedać, to uczyń, choćby z konfederatami pocichu w praktyki wejść. Sam z całym taborem jedz do Birż, jako że stamtąd do Kurlandji bliżej. Radziłbym ci do Prus, ale tam wkrótce przed ogniem i mieczem nie będzie bezpieczno, bo zaraz po wzięciu Warszawy ordynowano Babinicza, aby przez Prusy na Litwę szedł rebelję ekscytować, a po drodze palił i ścinał. A wiesz, że on to potrafi. Chcieliśmy go złowić u Bugu i sam Steinbok wysłał nań znaczny podjazd, z którego ni zwiastun klęski nie wrócił. Nie bierz tego na

się, abyś miał się z Babiniczem mierzyć, bo nie zdużasz[1] i, jeno do Birż pośpieszaj.

„Febris opuściła mnie zupełnie, ile że tu wszędy wysokie i suche równie, nie takie paludes[2], jako na Żmudzi. Bogu cię polecam, etc.“.

O ile pan starosta uradował się, iż książę żyw i zdrowy, o tyle zatroskały go wielce nowiny. Jeżeli bowiem książę przewidywał, że nawet wygrana walna bitwa nie zdoła zbyt poprawić zachwianej fortuny szwedzkiej, to czego należało się spodziewać w przyszłości? Być może, że książę zdoła się uchronić od zagłady pod płaszczem chytrego elektora, a on, pan Sakowicz, pod książęcym, — lecz co czynić tymczasem? Iść do Prus?

Pan Sakowicz nie potrzebował rad książęcych, aby nie wchodzić w drogę Babiniczowi. Brakło mu do tego zarówno sił, jak chęci. Pozostawały Birże, ale i to zbyt późno ! Na drodze do nich leży partja billewiczowska, leży kopa innych, szlacheckich, chłopskich, księżych i Bóg wie nie jakich, które na samą wieść połączą się i rozniosą go, jak wicher suche liście; a choćby się nie połączyły, choćby uprzedzić je szybkim a śmiałym pochodem,— trzeba po drodze w każdej wsi, na każdem bagnie, w każdem polu i lesie staczać nową bitwę. Jakieżby siły mieć należało, by choć

[1] dasz rady. [2] bagna.

w trzydzieści koni dojść do Birż? Więc zostać w Taurogach? I to źle, bo tymczasem przyjdzie na czele potężnego tatarskiego zastępu straszny Babinicz; wszystkie partje zlecą się do niego, i zaleje Taurogi jak powódź, i zemstę taką wywrze, o jakiej ludzie dotąd nie słyszeli.

Pierwszy raz w życiu poczuł zuchwały doniedawna starosta, że brak mu rady w głowie, mocy w przedsięwzięciu, wyboru w niebezpieczeństwie.

I na drugi dzień zwołał na radę Biitzowa, Brauna i kilku znaczniejszych oficerów.

Postanowiono zostać w Taurogach i czekać na nowiny z pod Warszawy.

Lecz Braun z tej narady udał się wprost na inną, mianowicie do Anusi Borzobohatej.

Długo, długo naradzali się ze sobą, nakoniec Braun wyszedł z twarzą wielce poruszoną. Anusia zaś wpadła, jak burza, do Oleńki.

— Oleńka! przyszedł czas! — krzyknęła zaraz w progu. — Musimy uciekać!

— Kiedy? — spytała dzielna dziewczyna, blednąc nieco, lecz wstając zaraz, na znak natychmiastowej gotowości.

— Jutro, jutro! Braun ma komendę, a Sakowicz będzie spał w mieście, bo go pan Dzieszuk na ucztę zaprosi. Pan Dzieszuk dawno namówion i do wina czegoś mu namiesza. Braun powiada, że sam pójdzie i pięćdziesiąt

koni wyprowadzi. Oj, Oleńka! Oleńka, jaka ja szczęśliwa! jaka ja szczęśliwa!

Tu Anusia rzuciła się na szyję Billewiczówny i poczęła ją ściskać z takim wybuchem radości, że aż ta zdziwiona spytała:

—■ Co ci jest, Anusiu? Wszakże mogłaś Brauna dawno do tego skłonić?

— Mogłam skłonić? Tak, mogłam! To ja ci jeszcze nic nie mówiłam? O Boże! Boże! Nic nie wiesz? Pan Babinicz tu idzie! Sakowicz ze strachu mrze i wszyscy oni!... Pan Babinicz idzie! pali! ścina! Podjazd jeden zniósł zeszczętem, samego Steinboka poraził i idzie wielkiemi pochodami, jakby się śpieszył! A do kogoż on się tu może śpieszyć? Powiedz, czy ja nie głupia?

Tu łzy błysnęły w Anusinych źrenicach, Oleńka zaś złożyła ręce jak do modlitwy i, wzniósłszy oczy, rzekła:

— Do kogokolwiek się śpieszy, niech Bóg prostuje drogi jego, niech go błogosławi i chroni!

ROZDZIAŁ IX.

Pan Kmicic, chcąc się przedostać od Warszawy ku Prusom Książęcym i Litwie, rzeczywiście niełatwe miał zaraz w początkach zadanie, bo nie dalej jak w Serocku stała wielka potęga szwedzka. Karol Gustaw kazał jej swego czasu umyślnie tam. stanąć, aby prze-

szkadzała oblężeniu Warszawy, lecz ponieważ Warszawa była już wzięta, przeto armja ta nie miała tymczasem nic lepszego do roboty, jak nie puszczać oddziałów, które Jan Kazimierz chciałby na Litwę lub do Prus posłać. Stał na jej czele Duglas, biegły wojownik, wyćwiczony jak żaden ze szwedzkich jenerałów w dorywczej wojnie, i dwóch zdrajców polskich: Radziejowski i Radziwiłł. Było z nimi dwa tysiące wybornej piechoty, a drugie tyle jazdy i artylerji. Wodzowie, zasłyszawszy o ekspedycji Kmicica, gdy i tak trzeba im było izbliżyć się ku Litwie dla ratowania na nowo obleganego przez Mazurów i Podlasian Tykocina, rozciągnęli szeroko na pana Andrzeja sieci, w trójkącie nad Bugiem, między Serockiem z jednej, Złotoryją z drugiej, i Ostrołęką na szczycie.

Kmicic zaś rnusiał przez ów trójkąt przechodzić, bo śpieszył się, a tamtędy była mu droga najbliższa. Wcześnie też pomiarkował się, że jest w sieci, ale że przywykł do tego sposobu wojowania, więc się nie zrażał. Liczył na to, że sieć ta zbyt jest rozciągnięta, i dlatego oka w niej tak szerokie, iż się w razie potrzeby przedostać przez nie zdoła. Co więcej: jakkolwiek polowano na niego pilnie, on nietylko kluczył, nietylko się wymykał, ale i sam polował. Naprzód przeszedł Bug za Serockiem, dotarł brzegiem rzeki do Wyszkowa, w Brańszczyku zniósł zeszczętem trzysta koni wysła-

nych na podjazd, tak, iż, jak książę pisał, ni zwiastun klęski nie został. Sam Duglas nacisnął go w Długosiodle, lecz on, rozbiwszy jazdę, przedostał się poza nią, i zamiast umykać co duchu, szedł im na oczach aż do Narwi, którą wpław przebył. Duglas został nad jej brzegiem, czekając na promy, ale nim je sprowadzono, Kmicic głuchą nocą wrócił się znów przez rzekę, i uderzywszy na przednie straże szwedzkie, wzniecił popłoch i zamieszanie w całej Duglasowej dywizji.

Zdumiał się tym postępkiem stary jenerał, lecz nazajutrz zdumienie jego jeszcze było większe, gdy dowiedział się, iż Kmicic obszedł armję, i wróciwszy na miejsce, z którego ruszono go jak zwierza, zagarnął w Brańszczyku podążające za wojskiem wozy szwedzkie wraz z łupami i kasą, wyciąwszy przytem pięćdziesiąt piechoty konwoju.

Upływały czasem całe dnie, że Szwedzi widzieli jego Tatarów gołem okiem na krańcu widnokręgu, a dosięgnąć ich nie mogli. Zato pan Andrzej co chwila coś urywał. Żołnierz szwedzki nużył się, a polskie chorągwie, które trzymały się jeszcze przy Radziejowskim, lubo z dysydentów złożone, służyły nieszczerze. Natomiast ludność wysługiwała się z zapałem głośnemu partyzantowi. Wiedział o każdym ruchu, o najmniejszym podjeździe, o każdym wozie, który wyruszał naprzód lub pozostawał wtyle. Częstokroć zdawało się, że igra ze Szwe-

darni, ale były to igraszki tygrysie. Jeńców nie żywił, kazał ich wieszać Tatarom, gdyż tak samo zresztą czynili w całej Rzeczypospolitej Szwedzi. Chwilami, rzekłbyś, napadała go wściekłość niepohamowana, bo *ze ślepem* zuchwalstwem rzucał się na przeważne siły.

— Warjat dowodzi tym oddziałem — mówił o nim Duglas.

— Albo wściekły pies! — odpowiedział Radziejowski.

Bogusław był zdania, że jedno i drugie, ale podszyte znamienitym żołnierzem. Z chlubą też opowiadał jenerałom, że tego kawalera po dwakroć własną ręką zwalił na ziemię.

Jakoż na niego najzacieklej następował pan B.abinicz. Szukał go widocznie; sam ścigany, ścigał.

Duglas odgadł, że musi być w tem jakaś prywatna nienawiść.

Książę nie zapierał, chociaż objaśnień żadnych nie dawał. Płacił też Babiniczowi równą monetą, bo, idąc za przykładem Chowańskiego, wyznaczył cenę na jego głowę, a gdy to nie pomogło, zamyślił skorzystać z jego ku sobie nienawiści i właśnie przez nią w potrzask go wprowadzić.

— Wstyd nam już porać się tak długo z tym rozbójnikiem, — rzekł do Duglasa i Radziejowskiego, — kręci się on koło nas, jak wilk koło owczarni, z pomiędzy palców wymyka. Pójdę mu tedy z niewielkim oddziałem na

przynętę, a gdy na mnie uderzy, póty go na sobie zatrzymam, dopóki wasze dostojnoście nie nadciągniecie; wówczas nie wypuścim raka z kobieli i.

Duglas, któremu gonitwa dawno się już uprzykrzyła, mały tylko stawiał opór, twierdząc, że nie może i nie powinien życia tak wielkiego dostojnika i krewnego królów dla schwytania jednego grasanta azardować. Lecz gdy książę nalegał, zgodził się.

Ułożono, że książę pójdzie z oddziałem pięciuset jeźdźców, ale każdemu rajtarowi wsadzi za plecy piechura z muszkietem. Fortel ten miał posłużyć do wprowadzenia w błąd Babinicza.

— Nie wytrzyma on, gdy usłyszy o pięciuset tylko rajtarach, i uderzy niezawodnie — mówił książę; — tymczasem, gdy mu piechota w oczy plunie, rozproszą się jego Tatarzy jak piasek... i sam polegnie, lub żywcem go dostaniem...

Plan ów przeprowadzono szybko i z wielką dokładnością. Naprzód puszczano przez dwa dni wieści, iż podjazd z pięciuset koni ma być pod Bogusławem wysłany. Jenerałowie liczyli na pewno, że miejscowa ludność uwiadomi o tem Babinicza. Jakoż tak się stało.

Książę ruszył głęboką i ciemną nocą ku Wąsowu i Jelonce, przeszedł w Czerewinie rzekę,

---

[1] kobiałki, koszyka.

i zostawiwszy jazdę w golem polu, zasadził piechotę w pobliskich zagajnikach, aby niespodzianie wychylić się mogła. Tymczasem Duglas miał się posuwać brzegiem Narwi, udając, że idzie ku Ostrołęce. Radziejowski zaś zachodzić miał z lżejszemi chorągwiami jazdy od Księżopola.

Wszyscy trzej wodzowie nie wiedzieli dobrze, gdzie w tej chwili jest Babinicz, bo od chłopów niepodobna się było dowiedzieć, rajtarowie zaś nie umieli chwytać Tatarów. Przypuszczał jednak Duglas, że główna siła Babiniczowa stoi w Śniadowie, i chciał ją otoczyć tak, aby, jeśli Babinicz ruszy na księcia Bogusława, zajść mu od granicy litewskiej i przeciąć odwrót.

Wszystko zdało się sprzyjać szwedzkim zamiarom. Kmicic istotnie był w Śniadowie, i zaledwie doszła go wiadomość o Bogusławowym podjeździe, zapadł natychmiast w lasy, aby niespodzianie wynurzyć się z nich pod Czerewinem.

Duglas, zawróciwszy od Narwi, trafił po kilku dniach na ślady tatarskiego pochodu i szedł tym samym szlakiem, zatem już ztyłu za Babiniczem. Upał mordował straszliwie konie i ludzi poprzybieranych w żelazne blachy, lecz jenerał szedł naprzód, nie zważając na te przeszkody, pewien już zupełnie, że zejdzie Babiniczową watahę niespodzianie i w chwili bitwy.

Nakoniec po dwóch dniach pochodu dotarł tak blisko Czerewina, że dymy chałup widać było. Wówczas stanął, i poobsadzawszy wszystkie przejścia, najmniejsze ścieżki, — czekał.

Niektórzy oficerowie chcieli iść na ochotnika i zaraz uderzać, lecz on wstrzymał ich, mówiąc:

— Babinie^, po uderzeniu na księcia, gdy pozna, że nie z samą jazdą, ale i z piechotą ma do czynienia, cofać się musi, — a może wracać tylko dawnym szlakiem... wówczas zaś wpadnie nam jakby w otwarte ramiona.

Jakoż pozostawało tylko nadstawiać ucha, rychło odezwą się wycia tatarskie i pierwsze strzały muszkietów.

Tymczasem upłynął jeden dzień — i w lasach czerewińskich cicho było, jakgdyby nigdy nie postała w nich noga żołnierska.

Duglas począł się niecierpliwić i pod noc wysłał maleński podjazd ku polom, przykazawszy mu największą ostrożność.

Podjazd wrócił głęboką nocą, nic nie widziawszy i niczego nie sprawdziwszy. Świtaniem ruszył sam Duglas z całą siłą naprzód.

Po kilku godzinach drogi dotarł do miejsca, na którem pełno było śladów żołnierskiego postoju. Znaleziono resztki sucharów, potłuczone szkło, kawałki ubioru i pas z ładunkami, jakich używali piechurowie szwedzcy; niewątpliwie więc stała w tem miejscu Bogusławowa piechota, lecz nigdzie nie było jej wi-

dać. Dalej, na mokrej łące, przednia straż Duglasowa spostrzegła mnóstwo wycisków ciężkich rajtarskich koni, na brzegu zaś ślady tatarskich bachmatów; jeszcze dalej leżało padło jednego konia, z którego wilcy świeżo wyciągnęli wnętrzności. O staję stamtąd znaleziono strzałę tatarską bez grotu, ale z całkowitą brzechwą i bełtem. Widocznie Bogusław cofał się, a Babinicz szedł za nim.

Duglas zrozumiał, że musiało zajść coś niezwykłego.

Lecz co? Na to nie było odpowiedzi. Duglas zamyślił się. Nagle zadumę przerwał mu oficer z przedniej straży.

— Wasza dostojność! — rzekł. — Przez zarośla widać o staję kilku ludzi w kupie. Nie ruszają się, jakby wartownicy. Wstrzymałem straż, by waszej dostojności o tem donieść.

— Jezdni, czy piesi? — spytał Duglas.

— Piesi, — jest ich czterech, czy pięciu w kupie, dobrze policzyć nie można, bo gałęzie zasłaniają. Ale migają się żółto, jakby nasi muszki etnicy.

Duglas ścisnął kolanami konia, szybko popędził do pierwszej straży i ruszył z nią naprzód. Przez rzednące zarośla w dalszym głębokim lesie widać było grupę żołnierzy zupełnie nieruchomą, stojącą pod drzewem.

—- Nasi, nasi! — rzekł Duglas. — Książę musi być w pobliżu.

— Dziw! — ozwał się po chwili oficer — stoją na warcie i żaden się nie ozwie, choć hałaśliwie idziemy. — Wtem zarośla skończyły się i odsłonił się las niepodszyty. Wówczas nadjeżdżający ujrzeli czterech ludzi stojących w kupie, tuż jeden obok drugiego, jakby patrzyli czegoś w ziemię. Od głowy podnosiło się każdemu czarne pasmo prosto ku górze.

— Wasza dostojność! — rzekł nagle oficer — ci ludzie wiszą!

—- Tak jest! — odpowiedział Duglas.

I przyśpieszywszy kroku, stanęli na chwilę tuż koło trupów. Czterech piechurów wisiało na pętlach razem, jak kupa drozdów, z nogami ledwie na cal wyniesionemi nad ziemię, bo na niskiej gałęzi.

Duglas popatrzył na nich dość obojętnie, poczem rzekł, jakby do samego siebie:

— To wiemy, że i książę i Babinicz tędy przechodzili.

I zamyślił się znowu, bo sam dobrze nie wiedział, czyli ma iść dalej tym leśnym szlakiem, czy się przebrać na wielki gościniec ostrołęcki.

Tymczasem w pół godziny później odkryto znów dwa trupy. Widocznie byli to maruderowie lub chorzy, których babiniczowscy Tatarzy schwytali, postępując za księciem.

Lecz czemu książę się cofał?

Duglas znał go zbyt dobrze, to jest zarówno

jego odwagę, jak doświadczenie wojenne, ażeby chociaż na chwilę przypuścił, że książę nie miał dostatecznych przyczyn. Musiało tam coś zajść koniecznie.

Na drugi dzień dopiero sprawa się wyjaśniła. Mianowicie przyjechał z podjazdem w trzydzieści koni pan Bies Kornia od księcia Bogusława, z doniesieniem, iż król Jan Kazimierz wyprawił za Bug przeciw Duglasowi pana hetmana polnego Gosiewskiego w sześć tysięcy litewskich i tatarskich koni.

— Dowiedzieliśmy się o tern, — mówił pan Bies, —• zanim Babinicz nadciągnął, bo szedł bardzo ostrożnie i często przypadał, zatem marudnie. Pan Gosiewski jest w czterech lub pięciu milach. Książę, powziąwszy wiadomość, cofać się śpiesznie rnusiał, aby się z panem Radziejowskim połączyć, który łatwo mógł być zniesion. Ale szybko idąc, połączyliśmy się szczęśliwie. Zaraz też książę podjazdy ordynował po kilkanaście koni we wszystkie strony, z doniesieniem do waszej dostojności. Siła ich wpadnie w tatarskie albo chłopskie ręce, ale w takiej wojnie nie może inaczej być.

— Gdzie są książę i pan Radziejowski?

— W dwóch milach stąd, u brzegu.

— Książę całą-li siłę wprowadził?

— Piechotę zostawić rnusiał, która się przebiera co najgęstszemi lasami, by się od Tatarów uchronić.

— Taka jazda, jak tatarska, by i największemi gąszczami iść umie. Nie spodziewam się już ujrzeć tej piechoty. Ale niczyjej w tern winy niema, i książę postąpił jako wódz doświadczony.

— Książę rzucił jeden znaczniejszy podjazd ku Ostrołęce, aby pana podskarbiego litewskiego w błąd wprowadzić. Ruszą oni tam niemieszkając, w tej myśli, że całe nasze wojsko na Ostrołękę poszło.

— To dobrze! — rzekł ucieszony Duglas.— Damy panu podskarbiemu rady.

I nie tracąc chwili, nakazał pochód, aby się z księciem Bogusławem i Radziejowskim połączyć. Nastąpiło to tego samego dnia, ku wielkiej uciesze, zwłaszcza pana Radziejowskiego, który niewoli gorzej od samej śmierci się obawiał, wiedział bowiem, że jako zdrajca i sprawca wszystkich nieszczęść Rzeczypospolitej srodze odpowiadaćby rnusiał.

Teraz wszelako, po połączeniu się z Duglasem, armja szwedzka wynosiła przeszło cztery tysiące ludzi, zatem mogła stawić skuteczny opór siłom pana hetmana polnego. Miał on wprawdzie sześć tysięcy jazdy, lecz Tatarzy, prócz Babiniczowych, bardzo wyćwiczonych, użyci być we wstępnym boju nie mogli, a i sam pan Gosiewski, lubo wojownik biegły i uczony, nie umiał śladem Czarnieckiego natchnąć ludzi takim zapałem, przeciw któremu nic ostać się nie zdołało.

Duglas jednak w głowę zachodził, w jakim celu Jan Kazimierz mógł wysłać hetmana polnego za Bug. Król szwedzki wraz z elektorem szedł na Warszawę, walna bitwa musiała więc tam prędzej później nastąpić. A lubo Kazimierz stał już na czele potęgi liczebnie od Szwedów i Brandenburczyków większej, jednakże sześć tysięcy bitnego ludu stanowiło zbyt wielki zasiłek, aby się król polski miał go dobrowolnie pozbawiać.

Prawda, że i pan Gosiewski wyrwał Babinicza z toni, ale przecie na ratunek Babinicza nie potrzebował król całej dywizji wysyłać. Był zatem w tej wyprawie jakiś cel ukryty, którego jenerał szwedzki, mimo całej przenikliwości, odgadnąć nie umiał.

W liście króla szwedzkiego, nadesłanym w tydzień później, znać było wielki niepokój i jakoby przerażenie z powodu tej ekspedycji, ale kilka słów wyjaśniało jej przyczyny. Wedle zdania Karola Gustawa, pan hetman nie poto był posłany, by na Duglasową armję uderzać, by iść na Litwę, tamtejsze powstanie wspomagać, bo tam i tak Szwedzi już nastarczyć nie mogli, — ale poto, żeby Prusom Książęcym, mianowicie wschodniej ich części, całkowicie wojsk pozbawionej, zagrozić.

„Obliczono na to, — pisał król, — by elektora w wierności dla malborskiego traktatu i dla nas zachwiać, co łatwo może się stać, gdyż on z Chrystusem przeciw djabłu i z dja-

błem przeciw Chrystusowi jednocześnie wejść w sojusz gotowy, aby od obydwu skorzystać“.

List kończył się poleceniem, aby Duglas starał się wszelkiemi siłami pana hetmana do Prus nie dopuścić, który jeśli w ciągu kilku tygodni wkroczyć tam nie zdoła, niechybnie pod Warszawę wracać musi.

Duglas uznał, że zadanie, jakie nań włożono, wcale sił jego nie przechodzi. Jeszcze niedawno stawiał on z pewnem powodzeniem ozoło samemu Czarnieckiemu, dlatego Gosiewski nie był mu straszny. Nie spodziewał się wprawdzie znieść jego dywizji, ale był pewien, że potrafi ją osadzić i wszelkie jej ruchy zahamować.

Jakoż od tej chwili poczęły się bardzo sztuczne pochody obu armij, które unikając wzajemnie walnej bitwy, starały się obejść jedna drugą. Obaj wodzowie godnie współzawodniczyli ze sobą, jednakże doświadczony Duglas o tyle był górą, że wyżej niż do Ostrołęki pana hetmana polnego nie puścił.

Zaś ocalony od Bogusławowego podejścia pan Babinicz wcale się także z połączeniem z litewską dywizją nie śpieszył, albowiem z wielką gorliwością zajął się ową piechotą, którą Bogusław w śpiesznym swym pochodzie ku Radziejowskiemu rnusiał po drodze zostawić. Tatarzy jego, prowadzeni przez miejscowych leśników, szli za nią dzień i noc, łuszcząc co chwila nieostrożnych, lub tych, którzy po-

zostawali wtyle. Brak żywności zmusił nakoniec Szwedów do podzielenia się na małe oddziały, które łatwiej o spyżę starać się mogły, ale tego tylko czekał pan Babinicz.

Podzieliwszy swą watahę na trzy komendy, pod dowództwem własnem, Akbah-Ułana i Soroki, w kilka dni wygniótł większą część owycli piechurów. Była to jakby nieustająca obława na ludzi po gąszczach leśnych, łozach i trzcinach, pełna hałasu, wrzasków, nawoływań, strzałów i śmierci.

Szeroko rozsławiła ona imię Babinicza między Mazurami. Watahy zebrały się i połączyły z panem Gosiewskim dopiero pod samą Ostrołęką, kiedy pan hetman polny, którego wyprawa była tylko demonstracją[1], odebrał już rozkaz królewski ciągnienia zpowrotem pod Warszawę. Krótko tylko mógł pan Babinicz cieszyć się znajomymi, mianowicie ¿z panem Zagłobą i Wołodyjowskim, którzy na czele laudańskiej chorągwi towarzyszyli hetmanowi. Witali się jednak bardzo serdecznie, bo już była wielka przyjaźń i zażyłość pomiędzy nimi. Obu młodym pułkownikom markotno było wielce, że nie mogli tym razem nic wskórać przeciw Bogusławowi, ale pan Zagłoba pocieszał ich, dolewając im gęsto do szklanic i tak mówiąc:

— Nic to! Już moja głowa od maja pra-

---

[1] tu: pozornem działaniem, celem zmylenia nieprzyjaciela.

cuje nad fortelami, a nigdy jeszcze nadarmo jej nie łamałem. Mam kilka gotowych, bardzo przednich, jeno do aplikowania [1] już czasu niema, chyba pod Warszawą, dokąd wszyscy ruszymy.

— Ja muszę do Prus! — odrzekł Babilliez — i pod Warszawą nie będę.

— Zali się do Prus dostać zdołasz? — spytał Wołodyjowski.

— Jak Bóg na niebie, tak się przemknę, i to święcie wam przyrzekam, że bigosu narobię niepośledniego, bo jużci powiem moim Tatarom: „Hulaj dusza!“ Radziby oni i tu nożami po gardłach ludziom przeciągać, alern im zapowiedział, że za każdy gwałt — powróz! Zato w Prusiech i własnej ochocie pofolguję. Zaśbym nie miał się przemknąć! Wyście nie mogli, ale to inna rzecz, bo łatwiej większej sile drogę zagrodzić, niżli takiej wataże, jako jest moja, z którą ukryć się łatwo. Nieraz ja już w trzcinach siedział, <a Duglasowi przechodzili tuż tuż, ani o tern wiedząc. Duglas też pójdzie pewnie za wami i mnie tu pole wolne odsłoni.

—- Aleś go też, słyszę, zmachał! — rzeki z zadowoleniem Wołodyjowski.

— Ha, szelma! — dodał pan Zagłoba. — Codzień rnusiał koszulę brać, tak się pocił. Jużeś waćpan i Chowańskiego sprawniej nie

[1] wykonania.

podchodził, i to ci muszę przyznać, że sambym lepiej nie potrafił, gdybym się na waćpanowem miejscu znajdował, chociaż jeszcze pan Koniecpolski powiadał, że do podjazdowej wojny niemasz nad Zagłobę.

— Widzi mi się, — rzeki do Kmicica Wołodyjowski, — iż jeśli Duglas wróci, to Radziwiłła tu zostawi, by na cię następował.

— Daj to Bóg! Tę samą mam nadzieję — odparł żywo Kmicic. — Jakbym ja zaczął jego szukać, a on mnie także, tobyśmy się przecie znaleźli. Trzeci raz już przeze mnie nie przejedzie, a jeśli przejedzie, to się chyba więcej nie podniosę. Twoje arkana pamiętam dobrze i wszystkie sztychy łubniańskie mam jako pacierz w pamięci. Codzień ich też z Soroką próbuję, ażeby sobie rękę wkładać.

— Co tam fortele! — zawołał Wołodyjowski — szabla grunt!

Dotknęła nieco ta maksyma pana Zagłobę, który też zaraz odrzekł:

— Każdy wiatrak myśli, że grunt skrzydłami machać, a wiesz, Michałku, czemu? Bo ma plewy pod dachem, alias w głowie-. Sztuka wojenna także na fortelach polega, inaczej Roch mógłby być hetmanem wielkim, a ty polnym.

— A co pan Kowalski porabia? — spytał Kmicic.

— Pan Kowalski? Już żelazny hełm na głowie nosi, i słusznie, bo kapusta z sagana najlepsza. Obłowił się okrutnie w Warszawie, zdo-

był się na poczet zacny i poszedł do husarzów, do kniazia Połubińskiego, a wszystko dlatego, żeby móc kop ją się do Carolusa złożyć. Przychodzi do nas codzień pod namiot i ślipiami łypie, czyli szyja od gąsiora ze słomy nie wygląda. Nie mogę tego chłopca od pijaństwa odzwyczaić. Na nic dobry przykład! Alem mu prorokował, że mu na złe wyjdzie to chorągwi laudańskiej opuszczenie. Szelma! niewdzięcznik! za tyle dobrodziejstw, którem mu wyświadczył, opuścił mnie, taki syn, dla kopji!

— Waćpan-źeś jego chował?

— Mój mosanie! nie czyńże mnie niedźwiednikiem. Panu Sapieże, któren mnie o to pytał, powiedziałem, że jednego z Rochem mieli praeceptora, ale nie mnie, bo ja za młodych lat byłem bednarzem i klepki umiałem dobrze wstawiać.

— Naprzód, tegobyś waćpan panu Sapieże nie śmiał powiedzieć, — odpowiedział Wołodyjowski, — a po wtóre, niby mruczysz na Kowalskiego, a miłujesz go jako źrenicę oka.

— Wolę go od ciebie, panie Michale, gdyż chrabąszczów nigdy znosić nie mogłem, ani kochliwych mydłków, którzy na widok pierwszej lepszej niewiasty koziołki zaczynają zaraz przewracać, jako niemieckie muce [x].

— Albo jako te małpy u Kazanowskich, z któremi waćpan wojował!

---

[1] psy kudłate, w rodzaju pudlów.

— Śmiejcie.się, śmiejcie, — będziecie drugi raz sami Warszawę zdobywali!

— Toś to niby waćpan *ją* zdobył?

— A kto Krakowską bramę expugnavit? [1] Kto niewolę dla jenerałów obmyślił? Siedzą teraz na chlebie i wodzie w Zamościu, .a co Wittemberg spojrzy na Wrangla, to powiada: „Zagłoba nas tu wsadził!“ — i oba w płacz. Żeby pan Sapieha nie był chory i żeby tu był obecny, powiedziałby wam, kto szwedzkiego kleszcza[2] z warszawskiej skóry najpierwszy wyciągnął.

— Dla Boga! — rzekł Kmicic — uczyńcież to dla mnie i przyślijcie mi wiadomość o onej bitwie, na którą się pod Warszawą zbiera. Dnie i noce będę na palcach liczył, i spokoju nie zaznam, póki się czego pewnego nie dowiem.

Zagłoba przyłożył palec do czoła.

— Posłuchajcie mojej polityki, — rzekł,— bo co powiem, to się tak pewno spełni — jako i to jest pewne, że ta szklanica stoi przede mną... Czy nie stoi? co?

— Stoi, stoi! Mów waść!

— Tę bitwę walną albo przegramy, albo wygramy...

— To każdy wie! — wtrącił Wołodyjowski.

—- Milczałbyś, panie Michale, i uczył się. Suponując, że tę bitwę przegramy, wiesz, co

[1] zdobył. [2] dokuczliwego pasorzyta, wpijającego się w skórę.

dalej będzie?... Widzisz! — nie wiesz, bo już swemi szydełkami pod nosem, jak zając, ruszasz... Otóż ja mówię wam, że nic nie będzie...

Kmicic, który był bardzo żywy, zerwał się, stuknął szklanką o stół i zawołał:

— Marudzisz waść!

— Mówię, że nic nie będzie! — odparł Zagłoba. — Młodziście, to tego nie rozumiecie, że, jako teraz rzeczy stoją, nasz król, nasza miła ojczyzna, nasze wojska mogą pięćdziesiąt bitew jedna po drugiej przegrać — i po staremu wojna pójdzie dalej, szlachta będzie się zbierała, z nią i wszystkie podlejsze stany... I nie uda się raz, to uda się drugi, dopóki moc nieprzyjacielska nie stopnieje. Ale jak Szwedzi jedną batalję większą przegrają, to ich djabli bez ratunku wezmą, a elektora z nimi w dodatku.

Tu ożywił się Zagłoba, wychylił szklankę, palnął nią o stół, i mówił dalej:

— Słuchajcie, bo tego z lada gęby nie usłyszycie, bo nie każdy umie patrzyć generalnie[1]. Niejeden myśli: co tu nas jeszcze czeka? ile bitew, ile klęsk, o które, wojując z takim Carolusem, nietrudno... ile łez? ile krwi wylanej? ile ciężkich paroksyzmów?... I niejeden wątpi, i niejeden przeciw miłosierdziu Bożemu i Matce Najświętszej bluźni..., A ja wam powiadam tak: Wiecie, co nieprzyjaciół onych

---

[1] z ogólnego punktu widzenia.

wandalskich [1] czeka? — zguba; wiecie, co nas czeka? — zwycięstwo! Pobiją nas jeszcze sto razy, — dobrze... ale my pobijemy sto pierwszy, i będzie koniec.

Rzekłszy to pan Zagłoba, przymknął na chwilę oczy, lecz zaraz je otworzył, spojrzał błyszczącemi źrenicami przed siebie, i nagle zakrzyknął całą siłą piersi:

— Zwycięstwo! zwycięstwo!

Kmicic aż zaczerwienił się z radości.

— Dalibóg, ma rację! dalibóg, słusznie mówi! Nie może inaczej być! Musi taki przyjść koniec!

— Już to trzeba waści przyznać, że ci tu nie brakuje! — rzekł Wołodyjowski, palnąwszy się w głowę. — Rzeczpospolitą można zająć, ale dosiedzieć w niej nielża... i tak wkońcu trzeba się będzie wynieść.

— Ha! co? nie brakuje! — rzekł, uradowany z pochwały, Zagłoba. — Kiedy tak, to wam jeszcze będę prorokował. Bóg przy sprawiedliwych! Waćpan — (tu zwrócił się do Kmicica) — zdrajcę Radziwiłła pokonasz, do Taurogów pójdziesz, dziewczynę odbierzesz, za żonę pojmiesz, potomstwo wychowasz... Niech pypcia [2] na języku dostanę, jeżeli tak nie będzie, jakom rzekł... Dla Boga! tylko nie uduś!

---

[1] tu: czyniących wielkie zniszczenie, jak starożytni Wandalowie, którzy złupili Rzym; król szwedzki nosił tytuł „króla Gotów i Wandalów“. [2] wrzód.

Słusznie zastrzegał się pan Zagłoba, bo pan Kmicic porwał go w swoje ramiona, podniósł w górę, i tak ściskać począł, że aż oczy staremu wyszły nawierzch, — ledwie zaś stanął na własnych nogach, ledwie odsapnął, już pan Wołodyjowski, rozochocony wielce, chwycił go za rękę.

— Moja kolej! Mów waćpan, co mnie czeka?

— Boże ci błogosław, panie Michale!... Wywiedzie ci twoja misterna dzierlatka całe stadko... nie bój się. Uf!

— Vivat! — krzyknął Wołodyjowski.

— Ale pierwej ze Szwedami koniec uczynim! — dodał Zagłoba.

— Uczynim! uczynim! — zawołali, trzaskając szablami, młodzi pułkownicy.

— Vivat! zwycięstwo!




DRUKARNIA OSSOLINEUM
LWÓW